TYGODNIK KOBIETY

Nr. 7.
8 grudnia
1935 r.

CENA
50 GR.



Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

1. KOSTJUM BRONZOWY. MODEL STYLE DE PARIS







2. PELERYNKA Z TAFTY LUB AKSAMITU W KRATY MODEL FIRMY LOUISE BOULANGER
3. SPÓDNICA CZARNA JEDWABNA. BLUZKA KORONKOWA. MODEL FIRMY CALLOT.

TYGODNIK KOBIETY

Redaktorka naczelna: WANDA DOBRZAŃSKA. Wydawca: JANINA KULIGOWSKA.
REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Okólnik Nr. 11-a, tel. 666-35. KONTO P.K.O. 13.191.
Naczelna redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od 11-ej do 13-ej. Sekretarjat redakcji czynny codziennie od 11-ej do 14-ej.

Rok I Nr. 7. 8 grudnia 1935 r.

TRZECIA PŁEĆ

Nie, to nie tytuł sensacyjnej powieści. To nawet nie tytuł sensacyjnego artykułu, gdyż mowa będzie w nim o istocie spokojnej, zrównoważonej, bynajmniej nie „sensacyjnej" — o tak zwanej mężatce pracującej.

Znacie ten rodzaj ludzki?

W hierarchji społecznej zajmuje on jedno z ostatnich miejsc. Tuż obok „bezrobotnej", która... Ale nie odbiegajmy od tematu.

Kryzys i trudność znalezienia pracy zwróciły ostrze niechęci świata przeciwko kobietom. Ponosimy rzekomo odpowiedzialność za bezrobocie. Zajęłyśmy stanowiska, dawniej obsadzane mężczyznami, odbieramy chleb ojcom rodzin, obniżamy zarobki, bo pracujemy taniej (właściwie należałoby powiedzieć, że się nami pracuje taniej!) słowem krótko mówiąc, gdyby nie my, kobiety pracujące, bezrobocie miałoby oblicze o wiele mniej groźne. Byłoby „zjawiskiem ujemnem", a nie zdecydowanie — klęską społeczną.

Nie potrzebuję chyba tłumaczyć w Tygodniku Kobiety, że jest to rozumowanie błędne, a ustosunkowanie się do nas mężczyzn — wręcz niesprawiedliwe. Odczuwamy wszystkie aż nadto wyraźnie tę niesprawiedliwość, trwającą od wieków, ów „krzyżowy pochód kobiet", któremu końca nie widać. Było tak zawsze i tak jest dzisiaj. Z chwilą, kiedy jesteśmy potrzebne (np. podczas wielkiej wojny, a nieraz i w innych mniej ważnych momentach) awansujemy na pełnowartościowe istoty ludzkie, obdarzone nietylko umysłem i sercem, ale zdolne *nawet* do zastępowania mężczyzn na ich odcinkach pracy. Ale gdy taka potrzeba przestaje istnieć — natychmiast tracimy wszystkie uznane walory i przekonywujemy się ze zdumieniem, że znów zostałyśmy odsunięte na szary koniec.

Trawestując powiedzenie pewnego galicyjskiego profesora gimnazjalnego, który lubił tłumaczyć uczniom, że „najpierw jest pan profesor, potem długo nic niema, a potem dopiero uczeń", możnaby powiedzieć, że pod względem prawa do pracy — najpierw jest mężczyzna, potem długo nic niema, potem kobieta ,potem znowu długo nic niema, a wreszcie jest — mężatka pracująca.

Upośledzona ta przez los i życie istota pierwsza pada ofiarą wszystkich redukcji i ostatnia ma przyznane sobie prawo do pracy zarobkowej.

Nie piszę „pro domo meo". Należę, niestety, do kobiet samotnych, których nożyce redukcji dotykają dopiero w drugim rzędzie. To też głos mój nie jest głosem bezpośrednio zainteresowanej.

Rozumiem też, że kiedy zaistnieje potrzeba podziału zarobków, należy przeprowadzać podział w ten sposób, żeby ktoś jeden nie objadał się lukrowaną babką (jak to pisał Skiwski w „Tygodniku Ilustrowanym"), na rachunek tych, którzy nie mogą otrzymać nawet kromki suchego chleba. Tylko, że... o zjadanie lukrowanych babek podejrzewa się zawsze kobiety, mające mężów niebezrobotnych.

I to wydaje mi się conajmniej — niezupełnie sprawiedliwe.

Słyszy się nieraz — i to nietylko od mężczyzn, ale i od kobiet! — że większość kobiet pracuje bez wyraźnej potrzeby. Ot tak, dla przyjemności widocznie siedzą po siedem godzin w brzydkim przeważnie pokoju, narażone na nieuzasadnione pretensje klijentów, kaprysy szefów i nieżyczliwość kolegów. (Proszę nie myśleć, że piszę o sobie. Klijenci, z którymi mam do czynienia, są wszyscy sympatyczni. A moi szefowie i koledzy — to ideał szefów i kolegów. Ale wiem, że bywa inaczej!) Za tę wątpliwą, zdawałoby się, przyjemność, otrzymują od 120 do iluś tam złotych w górę. Te 120, 200 czy nawet 300 złotych rzekomo zamieniają kromkę chleba, zarabianą przez męża, w lukrowaną babkę i są solą w oku nietylko tych, którzy pracy znaleźć nie mogą, ale i tych, którzyby od spożywanych przez siebie babek (z konfiturami lub z arakiem!) pragnęli odwrócić uwagę!

Jeżeli mąż zarabia tyle, że rodzina z pracy jego rąk może się utrzymać, i, dodajmy, jeżeli jest dobrym pracownikiem i fachowcem, to może jest w tem *odrobina* słuszności, żeby w okresie ostrego bezrobocia redukować przedewszystkiem mężatkę, mającą byt zapewniony. Wielką natomiast niesprawiedliwością indywidualną i społeczną są masowe redukcje kobiet z tego tylko tytułu — że są mężatkami.

Powtarzam: siedzenie siedem godzin w biurze jest przyjemnością wątpliwą i z pewnością poza małemi wyjątkami, wszystkie kobiety pracujące poza domem, są do pracy zmuszone.

Istnieje wiele odmian takiego „musu". Niewystarczający zarobek męża. Obowiązek utrzymywania własnej rodziny. Wreszcie — stosunek między małżonkami, układający się w ten sposób, że godność i ambicja kobiety nie pozwalają jej być na utrzymaniu męża. Albo i względy — bardziej „idealne": zamiłowanie do zawodu, do którego kobieta się przygotowała, który wykonuje dobrze, w którym powinna mieć prawo pracować, jeśli pracować umie.

Może odpowie mi ktoś na to, że

nikt nie broni jej pracować w tym zawodzie... bezinteresownie. Jestto czysta fikcja, choćby dlatego, że przez bezinteresowne wykonywanie pracy również odbiera się możność zarobkowania innym! Nie mówiąc już o tem, że każde „wykonywanie zawodu" kosztuje. I jeżeli pozbawione będziemy wynagrodzenia, tem mniej będziemy mogły „dokładać" do naszej pracy.

Nie wiem, jak praktycznie wyglądać będzie „sprawiedliwy podział" pracy zarobkowej w Polsce. Może alarmy są przedwczesne. Może ci, w których rękach leży ta sprawa, kierować się będą rzeczywistą wartością pracownika, a nie jego płcią i stanem cywilnym. Miejmy nadzieję — że tak się stanie, że nie będziemy tworzyć w Polsce istot „trzeciej płci", wziętych niejako poza nawias przyznanych przez konstytucję praw obywatelskich.

Nie znaczy to, że „mężatka pracująca" ma być jakiemś *tabu*. Nie, tylko przy redukcji nie można się kierować względami demagogicznemi. Niech ustąpią, którzy mogą nie pracować, którzy nie są szczególnie uzdolnieni, którzy mogą ustąpić bez krzywdy swojej i instytucji. Ale niekoniecznie — mężatki.

Zofja Popławska.

PRAWDZIWA IRENE HARAND

Wiele tygodni upłynęło od chwili, gdy zachwycone moje oczy ujrzały misterną koronkę wieży katedry św. Stefana, dawno zakończyłam włóczęgę po bogactwie muzeów i galerji obrazów, podziwiałam barwne prostokąty trawników z wyżyn Glorietki w parku w Schönbrunie, wierną straż orłów przy bramie wjazdowej do pałacu cesarskiego i piękne łuki ratusza, słowem czułam się już jak u siebie w domu w słonecznym, gościnnym Wiedniu, gdy wtem jedno pytanie wytrąciło mnie całkowicie z równowagi. Czy poznała pani Irenę Harand?

Irenę Harand! Postać tak niezmiernie popularna w stolicy naddunajskiej, związana tak mocnemi węzłami z życiem Austrji z ostatnich lat. Założycielka organizacji, zwalczającej wszelką nienawiść rasową, a więc i hitleryzmu na terenie państwa austryjackiego — której imię wymawiane jest ze czcią i szacunkiem przez jej zwolenników, a z niechęcią i lekceważeniem przez przeciwników. Nieraz spotykałam się podczas mego pobytu z działalnością tej organizacji i sylwetką jej twórczyni, zakreśloną przez entuzjastycznych wyznawców jak i widzianą w złośliwem i krzywem lusterku plotek, zarzutów i oszczerstw. Wtedy to powzięłam niezłomne postanowienie poznania „prawdziwej" Irene Harand.

Na ulicy Elizabethstrasse 20 znajduje się redakcja, wydawanego przez nią pisma „Gerechtigkeit" (Sprawiedliwość) i tam skierowałam swe kroki w jedno jesienne popołudnie.

W ciągu kwadransa, spędzonego w poczekalni raz poraz padało nazwisko kierowniczki. Nieustannie powtarzane zdawało się wprost roztrzępiać w niewidzialną sieć, otaczającą całą redakcję.



i piękne łuki ratusza...



Drukarnia domagała się energicznie wstępnego artykułu redaktorki do następnego numeru pisma. Z Rumunji przyszło zamówienie na znaczną ilość egzemplarzy książki pani Harand. Urzędnik objaśniał monotonnym głosem, że odczyt kierowniczki odbędzie się dzisiaj wieczór o godzinie....
To znów rozlegał się ostry głos telefonu i ktoś dopytywał się, czy pani Harand wróciła z Genewy. Pod ścianami pokoju na ławkach pokutuje gromadka bezbarwnych ludzi. Szare zmęczone twarze, szary, smutny uśmiech, przylepiony do ust opowiada o doznanej krzywdzie. To emigranci z Trzeciej Rzeszy. Wtedy myśli moje zaczęły się układać w jeden wielki znak zapytania. Jaką jest kobieta, która stanęła na czele tej organizacji, rozciągającej swój wpływ i działalność i na inne kraje Europy, wydawającej coraz popularniejsze pismo, niosącej pomoc duchową i materjalną emigrantom z Niemiec.

Pani kierowniczka prosi.... Z nad wielkiego biurka, założonego stosem książek i papierów podniosła się postać młodej i ładnej kobiety. Czarne, mądre oczy spoglądają badawczo, przenikliwie, jakby chciały nawylot przejrzeć, czy w człowieku bije ludzkie miłosierne serce. Irena Harand ma nielada talent szybkiego nawiązania przyjaźni, i oto w kilka minut po poznaniu, gawędzi ze mną jak z dobrą starą znajomą. Prosto i szczerze, bez żadnego patosu i pozy opowiada o początkach harandyzmu. O tem, jak to zwrot polityczny w Niemczech nie dawał jej spokoju, jak odczuwając pragnienie niesienia pomocy, zdecydowała się na kork stanowczy i wygłosiła swoje pierwsze przemówienie w jakiejś mrocznej sali w podziemiach. Tak, jak pierwsi chrześcijanie — dodaje z uśmiechem. Mówi i o broszurze, rozesłanej po kraju i o pielgrzymkach ludzi, którzy potem przychodzili do niej ze wszystkich tsron, prosząc, aby w dalszym

ciągu kontynuowała swoją pracę. O wielkich trudnościach, tych zwalczonych i tych co się jeszcze piętrzą przed organizacją, o mozolnej walce z obojętnością ludzką, wobec niedoli współbraci. Taką jest Irene Harand, posiadająca we krwi ogrom poczucia sprawiedliwości, które każe jej traktować i oceniać ludzi według ich zasług osobistych, a nie dlatego, że ślepa fantazja losu, uczyniła ich wyznawcami innej religji, lub przedstawicielami innej rasy. Pospieszyła na pomoc wygnańcom z Trzeciej Rzeszy nie z żadnego wyrachowania politycznego, ale dlatego, że usłyszała krzyk bólu cierpiącego człowieka. Z równym zapałem i samozaparciem niosłaby pomoc i w tym wypadku, gdyby pokrzywdzeni należeli nie do rasy białej, ale czarnej, lub żółtej.

Na zakończenie moja rozmówczyni wspomina o węzłach przyjaźni, które łączą ją z Polską, była w niej dwukrotnie i wyniosła z czasu pobytu, najmilsze wspomnienia. Po polsku do niedawna wychodziło również pismo Sprawiedliwość, w najbliższej też przyszłości ukaże się polskie tłumaczenie jej książki, zatytułowanej „Sein Kampf", a będącej odpowiedzią na dzieło Hitlera.

Wreszcie żegna mnie kierowniczka miłem po polsku powiedzeniem i to z wcale poprawnym akcentem „dowidzenia pani", moje miejsce zajmuje ktoś ze smutnej gromady czekających i opuszczam progi redakcji na Elizabethstrasse. Przez długie jednak godziny towarzyszy w mej wędrówce po mieście dobry uśmiech „prawdziwej" Irene Harand.

Hanna Muszyńska.

Na przeciwległym brzegu

Po niektórych ulicach, w światłach i cieniach zapalonych latarni, chodzą tam i z powrotem mocno umalowane kobiety. Kołują na ściśle określonym odcinku, zbierając się nad ranem w większe grupy. I wtedy słychać ochrypłe głosy i mocne wyzwiska.

Prędko mija się takie ulice. Unosi się nad niemi zmęczenie, wypędza z nich sprzeczność uczuć. Walka litości z odrazą. Współczucia z przerażeniem i wstydu z bezsilnością.

Bo właściwie trzebaby przekopać całe ustroje społeczne. Zwalczać psycho i fizjologiczne popędy... A tymczasem istnieją tylko rozporządzenia, zakazy, rygory. I to z jednej strony. A z drugiej dno najstraszliwszej nędzy i bezprzykładnej poniewierki.

Przecież statystyczne dane wykazały, że w Łodzi cena zaczyna się od 10 groszy, a w stolicy od 15-stu. Cyfry te chyba nie wymagają komentarzy, zwłaszcza, jeżeli się zważy, że każdy musi jeść, mieszkać i ubrać się.... Wobec tych cyfr zamierają słowa oburzenia, tembardziej, że inne dane statystyczne stwierdzają kategorycznie, że wśród tych kobiet zaledwie 15% posiada usposobienie t. zw. haremowe. Te pokonać siebie samych nie są w stanie.

Ale olbrzymia większość—to uwiedzione (często w dzieciństwie), oszukane, podstępnie, nieświadome, nieprzygotowane do życia. Młode. Wśród nich 50% służby domowej, z powodów, które odgadnąć łatwo. Bardzo chętnie, szczególnie w początkach, „kobiety lekkich obyczajów" zamieniłyby swoje życie na ciężką pracę. Bo one znają gorycz tego paradoksalnego twierdzenia i często marzą o zmianie życia na inne, nawet drogą największego wysiłku. Ale, niestety, tak niewiele jest instytucyj, gdzie chętne mogłyby znaleźć pomoc i opiekę. Miejsc jest mało, nawet tam, gdzie „błędy przeszłości" okupywać muszą nieomal średniowieczną ekspjacją. I podczas, kiedy one „okupują" i pracują „on", ten on („każdy jeden") żyje sobie nadal bezkarnie i szczęśliwie. Toteż one, wchodzące na drogę nową, żyją ze zrozumiałym buntem przeciwko niemu.

Bardzo ciekawa ankieta, oczywiście ściśle dyskrecjonalna i bezimienna, odsłania tajemnice tej kobiecej gehenny. Częstokroć 17-letnia dziewczyna ma serję przeżyć nie na miarę jednego ludzkiego życia.

Oto jedna, w 15 roku zgwałcona przez narzeczonego siostry. Stąd poczucie zemsty i szalone rozbudzenie fizyczne. Inną wypędzali na ulicę rodzice, a kiedy wracała bez pieniędzy, bito ją i kopano, mówiąc następnego dnia o zmroku:

— Już czas na ciebie.

Jeszcze inna, zgwałcona w domu przez krewnego, który się wyparł zbrodni, a ciężarną wypędził na ulicę. Któraś tam walczyła parokrotnie z własnym ojcem, aż po wielu walkach musiała uledz sile fizycznej. Ale dosyć. To tylko niektóre przykłady. A ileż, przyjeżdżając ze wsi do miasta, trafia już w drodze na opiekuna, który obiecuje pracę. Reszta wiadoma.

Toteż po okresie przygnębienia i bezradności, czasem po jednym „wpadunku" niejedna pragnie zmiany życia. Czasem udaje się jej trafić do instytucji opiekuńczej i pomocniczej, zbudowanej na tych, czy innych zasadach. Jedną z nich, „Dom pracy dobrowolnej", oparty na zasadach nowoczesnych metod wychowawczych, na zrozumieniu obowiązków obywatelskich i humitarnych, prowadzi w Warszawie Z. P. O. K.

Za progiem tego domu, pensjonarjuszki pozostawiają swoje dotychczasowe życie. Stają na jego przeciwległym brzegu, bez względu na wiek, gdyż przyjmowane są od lat 17 — 30-tu. Czeka je codzienna praca, nauka, szkolenie. A kiedy kierownictwo uzna każdą z nich za przygotowaną do samodzielnego życia, za uodpornioną należycie, wtedy opuszcza progi tego domu, w którym może przebywać od 3 miesięcy do 3 lat.

Pobyt jest zupełnie dobrowolny. Ale nikt nie wychodzi stąd na ulicę. Powracają do rodziny lub idą na płatne posady. Czaesm się zdarza, że ktoś wyjdzie samowolnie. Ale potem wraca ze skruchą, chodzi, jak cień, nie ma odwagi się zwierzyć pani kierowniczce w jej pokoju, podczas indywidualnej rozmowy. Pisze. Czeka ze drżeniem orzeczenia rady pedagogicznej, jej sądu. Jeżeli pozwolą jej pozostać, pracuje nad sobą tak, żeby już nigdy nie mieć pokusy wyjścia przed czasem ze „swego domu".

Bo dom jest swój, na tych odległych krańcach miasta. Wygląda, jak dworek z ganeczkiem i kolumienkami. Przed nim śliczny, starannie utrzymany, i oparkaniony ogródek. Cały dom jest malowany na żółto, żółte ma stoły i złociste, sosnowe meble w dużej świetlicy - jadalni. Stoły nakryte obrusami lnianemi, starannie mereżkowanemi, serwetki. O, takie małe. Ze ścinków od szytych podpinek, ale numerowane, obdziergane. Na stole naczynia fajansowe (żadnych blach, ani kubków!) i nierdzewne sztućce. Pogodny, słoneczny home.

Zza drzwi słychać wesołe głosy, śmiech i śpiew. A przed posiłkiem ustawia się cała gromadka w swoich biednych sukienkach, albo roboczych fartuszkach i głośno, chóralnie odmawia modlitwę.

Na ścianach, na tablicach, wiszą ozdobione wykaligrafowane tytuły na kartkach: „Przypomnienia". „Pracuję nad sobą"; „Wady, z których muszę się poprawić"; „Przyczyniam się do utrzymania porządku". A pod ty-

tułem rząd imion. Tu nikt niema nazwiska, tylko imię i numer. Obok plusy, minusy i zera. Kontrola samej siebie. Uważna, uczciwa ocena swego postępowania. Żmudna praca nad sobą.

To wymaga wytrwałości, wysiłku, oczywiście. Ale tygodniowy wysiłek zostaje nagrodzony złotą kropką, umieszczoną obok imienia. Wszystkie złote kropki za każdy tydzień miesiąca, uprawniają do otrzymania nagrody, w postaci kina, odwiedzin rodziny, udziału w lokalnej zabawie. Ale największa nagroda, to własne zadowolenie, to dobre słowa z ust pani kuratorki, pani kierowniczki lub instruktorki. A pola do pracy jest wiele, chociaż jest ona dobrowolna. Nikt przecież nie zniósłby w swym domu brudu, lub nieporządku. Nieładu w szafce, do której z początku bardzo często niema co schować. Przebywania w sypialni w dzien, gdzie stoi po pięć łóżek biało i równo zasłanych, a okno, ozdobione rośliną, wychodzi na świat.

Dba się i o te rośilny i o przybłędy: kota i psa. O wszystkie rzeczy i statki. Bo pieniądze z takim trudem zdobywa Zarząd. Trzeba więc oszczędzać i kalkulować i pracować, żeby w domu było zawsze pięknie. Jest taki swój.

Daje zapomnienie. Uczy, rozwija i szkoli. W kuchni odbywa się trzymiesięczny, systematyczny kurs gotowania stale dla 6-ciu uczenic pod kierunkiem instruktorki. Z taką dumą częstuje się próbnym obiadem smacznym, choć skromnym. W pracowni przechodzi się kurs kroju i szycia i robót ręcznych. Oczekiwane są zamówienia, bo robi się swetry, śliczne liseuse'ki i pelerynki, po bardzo niskiej cenie. Pensjonarjuszka dostaje z zarobku 75%. Część pieniędzy odkłada się na jej konto. Za resztę sprawia sobie powoli ubranie. Najczęściej bowiem przybywa od tego domu w stanie zupełnego wyczerpania fizycznego, materjalnego i moralnego.

Czas wyrównuje wszystko powoli. Ze spokojem o jutro, o dach nad głową, w pracy nad sobą i kształceniu się upływają dnie. Przychodzi powoli równowaga i odporność, przystosowanie się do nowych form życia.

Bo droga jest nowa, prosta, wyraźna, chociaż trudna. Ale daje też tyle radości. Stąd te pogodne uśmiechy, ten gwar głosów na korytarzu podczas południowej przerwy; to miłe „dzień dobry" i „dowidzenia", dla kogoś, kto już tu raz był na oględzinach i powraca znów w interesie. Jest swój. I wtedy za plecami pani kierowniczki daje się pytające znaki o „poczęstunek". Bo właśnie upieczono na kursie świeże ciasteczka. Jest czem poczęstować i pokazać, jak to uczenice potrafią.

Życie jest takie dobre, usystematyzowane, począwszy od godziny wstania do spoczynku. Wisi na ścianie rozkład zajęć dla wszystkich, oznaczony barwami: Pani kierowniczka, panie instruktorki i pensjonarjuszki. Wszyscy pracują dla wspólnego dobra i dla lepszego jutra.

Głęboką ideowość, serdeczną, doświadczoną, przyjacielską rękę w stosunku do pensjonarjuszek wyczuwa się z każdego słowa kierownictwa. Wszystko w tym domu robi się dla ich dobra. Praca jest niesłychanie trudna, delikatna. Wymaga wielkiego taktu, doświadczenia, powagi, dyskrecji i wyrozumienia. Niejednokrotnie od nadmiaru trudności moralnych i materjalnych opadają ręce.

Ale wystarczy poczucie obowiązku i jakiś jeden chociażby mały, a niespodziewany dowód celowości tej pracy, jeden efektywny rezultat. Wtedy zapomina się o trudnościach.

I pogodne, uśmiechnięte twarze, śpiew, dobiegający z poza zamkniętych drzwi, mówią tak wyraźnie o tem, jak czują się mieszkanki tego domu. Znalazły swój własny dom kulturalny, spokojny i taki piękny i dobry.

Marja Dobrowolska.

Okno na świat

W KALEJDOSKOPIE GRECKIM.

Po powrocie króla Jerzego II na tron grecki, warto uprzytomnić sobie, że państwo to bije wszechświatowy rekord w ilości i tempie przewrotów politycznych. Żadne państwo nie przebyło w ciągu zgórą stu lat tylu zmian ustrojowych, co Grecja.

Po odzyskaniu niepodległości i ogłoszeniu nowej konstytucji w roku 1822-gim, ustanowiono w Grecji tymczasowy rząd republikański. W roku 1827 władza przeszła w ręce dyktatora Capo d'Istria. Po czterech latach, t. j. w roku 1931, Grecja przeistoczyła się w monarchję z królem Ottonem, któremu w roku 1943-cim narzucono ustrój parlamentarny. W roku 1863-cim monarchja została obalona, a władza przeszła w ręce rządu tymczasowego. Już w roku 1863-cim restytuowano monarchję i na tron wstąpił Jerzy I. Tu — najdłuższy okres „stabilizacji", po którym w roku 1906-tym Jerzy I został zdetronizowany, a rządy dyktatorskie objął Venizelos. W roku 1909 na tronie zasiadł Konstantyn I. Ten skolei musiał w r. 1917 abdykować i ustąpić władzę znów Venizelosowi. Po trzech latach dyktatura ustępuje miejsca monarchji, na tronie zasiada Jerzy II — do roku 1924-go. I znów — przewrót, zniesienie monarchji, wygnanie króla. W tym okresie: regencja admirała Kunduriotisa, ponowne rządy Venizelosa, następnie — dyktatura Pangalosa, rządy Zaimisa i Tsaldarisa, krwawa rewolucja z udziałem Venizelosa, ucieczka tego ostatniego z kraju, wreszcie w listopadzie r. b. powrót wygnanego przed jedenastu laty króla Jerzego II.

Nie może ten kraj narzekać na brak rozmaitości w życiu politycznem.

SENSACJA, SENSACJA!

Przywódca gangsterów amerykańskich Dutch Szulc, zastrzelony kilka dni temu przez bandę konkurencyjną, dogorywał w szpitalu nowojorskim w okolicznościach szczególnych. Przy jego łożu zebrała się nietylko najbliższa rodzina. Prócz niej, prócz trzech znakomitych lekarzy i pielęgniarki, obecna tam była panna F. J. Lang, stenografistka policyjna. Zapisywała każde słowo konającego gangstera, zapisywała parę godzin, tak bowiem długo silny organizm pacjenta staczał ostatnią walkę ze śmiercią. Chodziło o to, czy bandyta zdradzi coś, co mogłoby być pożyteczne dla policji.

Mówił, rzecz prosta, bezładnie. Majaczył coś o miljonach, o sądach, o życiu, że jest złe... A ostatnie słowa — o matce, o miłości synowskiej, o tem, że osoba matki jest najdroższa. Skonał ze słowem „matka" na ustach.

Stenogram panny Lang wydrukowano w całości w wielu dziennikach amerykańskich. Była to w Stanach Zjedn. A. P. największa sensacja, która zaćmiła wszystkie najważniejsze sprawy naszych dni.

Trzeba jeszcze dodać, że szpital wydawał co godzina biuletyn o stanie, w jakim znajduje się Dutch Szulc i że dnia tego niektóre dzienniki wydawały co godzina dodatki nadzwyczaj-

ne. Nazajutrz zaś dzienniki, które zamieściły tekst owego stenogramu, musiały zwiększyć swe nakłady dziesięciokrotnie.

Szczytem sensacji były ostatnie słowa bandyty, poświęcone matce. Amerykanie ogromnie lubią objawy dobrych uczuć wśród bandytów, co zresztą widać w tylu amerykańskich filmach.

Jaka mieszanina moralna i psychologiczna: sensacja najgorszego gatunku w godzinach konania bandyty, zadowolenie, że zginął najzuchwalszy gangster, który od pary lat niepokoił miasto, i wzruszenie, wywołane słowami konającego o matce...

BEZ ORDERU ANI RUSZ.

W Rosji sowieckiej — coraz więcej orderów. Doniedawna były tylko dwa: „Order czerwonego sztandaru" i „Order Lenina". Teraz — nowy order z kilkoma „klasami", mianowicie: „Znak paczota" („Odznaczenie honorowe") — za szczególne zasługi w „wyścigu pracy", na polu nauki, literatury i sztuki, oraz za zasługi dla zwiększenia bojowej zdolności armji.

Niby — inny świat, inne kryterja społeczne, inne typy ludzkie, a jednak — te same w istocie podniety i ambicje, ten sam snobizm.

Nic dziwnego: natura ludzka nie zmienia się tak szybko, jak ustroje polityczne...

WALKA Z KARTELAMI.

Wkroczyliśmy w okres walki z kartelami, które despotycznie rządziły różnemi gałęziami przemysłu, dyktując ceny. Kartele miały na celu bezwzględną obronę najbardziej egoistycznego interesu producentów. Była to prawdziwa zmowa, nie cofająca się przed środkami z punktu widzenia społecznego i gospodarczego najbardziej gorszącemi. Naprzykład, dla utrzymania ceny na rynku, niektórzy właściciele fabryk otrzymywali z organizacyj kartelowych poważne sumy za... zatrzymanie produkcji. Fabryka stała bezczynna i za to fabrykant otrzymywał sowite wynagrodzenie. W ten sposób nie dopuszczano do „nadmiernej" podaży i zniżki cen, co jednocześnie przyczyniało się do zwiększenia bezrobocia.

Przed paroma dniami p. minister skarbu na konferencji prasowej mówił o szkodliwej działalności tych organizacyj kartelowych w handlu hurtowym, które, monopolizując w swych rękach handel w poszczególnych branżach, zamiast usprawnić go, powodują znaczne podrożenie pośrednictwa. Za jaskrawy przykład służyć mogą stosunki w handlu papierem, gdzie rozpiętość pomiędzy cenami hurtowemi i detalicznemi w gatunkach codziennego użytku wynosi od 200 do 460 procent! W handlu żelazem ta sama rozpiętość wynosi 280%, w handlu szkłem — 60%.

Walka z niektóremi kartelami doprowadzić musi do zniżki cen artykułów pierwszej potrzeby, tak dziś niezbędnej wobec obniżki wynagrodzeń.

„KRYZYSOWA" STATYSTYKA.

Według ostatnich danych Komendy Głównej Policji Państwowej, w 3-cim kwartale r. b. zameldowano policji w Warszawie następujące przestępstwa: 145 wypadków oporu władzy, 240 nawoływań do przestępstwa, 19 wypadków świadomego puszczania w obieg fałszywych monet, 59 fałszerstw, 1 podpalenie, 7 zabójstw, 10 usiłowań zabójstwa, 90 wypadków ciężkiego uszkodzenia ciała, 13 dzieciobójstw, 15 rozbojów, 14 paserstw, 756 wypadków oszustwa i 4.342 kradzieże.

Od szeregu lat zawsze największą pozycję w statystyce przestępstw stanowią kradzieże. Wszystkie inne przestępstwa stanowią drobną zaledwie część tej pozycji.

Pod tym względem — prawdziwie „kryzysowa" statystyka.

Z PAMIĘTNIKA REYMONTA.

Dnia 5-go grudnia r. b. mija 10-ta rocznica śmierci Władysława Reymonta. Spowodu tej rocznicy przypomniane będą zasługi wielkiego pisarza na polu literatury ojczystej. Lecz warto też może przypomnieć rzecz mniej głośną, mianowicie krótki pamiętnik Reymonta p. t. „Z konstytucyjnych dni". Przemawia tu czułe serce dobrego człowieka, sprawiedliwy sędzia i żarliwy obrońca krzywdy ludzkiej i krzywdy narodu.

Rok 1905-ty. Ostatnie dni października i pierwsze dni listopada. Największe napięcie walki z caratem. Zapowiedź późniejszych wielkich zmian dziejowych. Władysław Reymont chodził wówczas całemi dniami po ulicach Warszawy, patrzył i słuchał wyczekując wielkich rzeczy.

„Mam wrażenie — pisze — że niby ślepi i spętani balansujemy na linie, rozpiętej nad przepaścią, chcemy przejść na tamtą, jasną stronę. A wiadomo, że tylko szaleńcom udają się rzeczy niewykonalne. Więc — oszalejmy — i niech stanie się dzień wytęskniony".

Poszedł na krańce miasta, na Dzielną, Smoczą, Żelazną, na przedmieścia — do tych, którzy „wiodą walkę w najgłębszem milczeniu", którzy „smagani nędzą mocują się z kajdanami".

Znalazł się w jakiejś suterynie. Spojrzał na obraz nędzy najstraszliwszej. Na barłogu siedziała matka z pięciorgiem dzieci:

„Dzieci podniosły na mnie oczy, zrobiło się cicho, że dały się słyszeć krople wilgoci, padającej z sufitu.

— Zdychamy z głodu... i co to komu zaszkodzi? Przecież dziura się w niebie nie zrobi! — zaśmiała się strasznie.

„Naraz porwała jedno z dzieci i wyłupując je z łachmanów, zaczęła trząść niem, niby workiem z zetlałych kości, a krzyczeć:

— To człowiek, panie, co? To człowiek?

A potem, przed hotelem Europejskim spotkałem znajomego.

— Wiesz? Już od tygodnia niema ostryg — skarżył się żałośnie.

Bodaj ci chleba zabrakło, jak tamtym".

Obserwator.

KOBIETY W ŻYCIU POLITYCZNEM ANGLJI.

W związku z wyborami, które odbyły się w Anglji 14 listopada, ciekawy jest retrospektywny rzut oka na wysiłek kobiet angielskich. Otrzymały one prawa polityczne w roku 1918 i od tej pory brały żywy udział w życiu parlamentarnem.

W roku 1929 stanęło do wyborów 70 kandydatek, w roku 1931 — 62, a do tegorocznych wyborów 66, między któremi znalazły się przedstawicielki trzech głównych partyj politycznych, mianowicie 9 konserwatystek, 1 niezależna liberalna, 33 laburzystki, (socjalistyczna partja pracy).

Ostatni numer organu *„Womens Freedom League"* dopełnia w następujących słowach obszerny program kobiet angielskich:

„Raz jeszcze postawimy kandydatom wszystkich partji żądania, które musi spełnić w sensie równouprawnienia z mężczyznami Statut Kobiety angielskiej. Mężczyźni muszą zrozumieć, że żądamy:

1) wyboru uprawnionych do tego kobiet do Izby Lordów (Izba wyższa);

2) tytułu przyznawanego w uznaniu zasług dla kraju, w równej mierze kobiecie (lady), jak mężczyźnie (lord);

obecnie tytuł „Lady" przysługuje kobiecie, której mąż ma tytuł „Lord" albo „Sir";

3) aby karjery dyplomatyczna i konsularna otwarte były dla kobiet;

4) aby obowiązkowo naznaczono policjantki w całej Anglji, stanowią one bowiem integralną część policji;

5) aby w więzieniach kobiecych mianowane były naczelnemi dyrektorkami kobiety;

6) aby jednakowy kodeks moralności obowiązywał mężczyzn i kobiety.

W niektórych okręgach kobiety kandydowały przeciwko sobie. Możliwe, że to im właśnie zaszkodziło, — faktem jest bowiem, że ubyły cztery posłanki. Wybranych zostało tylko dziewięć. Wiele zasłużonych działaczek przepadło.

S. J.

William Locke

Uzurpator

Przekład autoryzowany
Ludwiki Ciechanowieckiej

Powieść

— Bunny jest zbyt logiczny, jak na poetę. Mam ochotę zacząć dyskusję od początku. W dzisiejszych czasach agnostycyzmu, negacji, w epoce w której każde zjawisko znajduje swoje naukowe objaśnienie, niema miejsca dla tajemnic. A przecież Bunny zgadza się, że tajemniczość stanowi jeden z pierwiastków kosmicznej radości życia. Dawniej pioruny i zawieruchy były głosami bogów i pokutujących duchów. Świat niema już dla nas tajemnic, dotarliśmy — wszędzie, kolej żelazna i telegraf dokonały podboju całej ziemi — nawet dżungla jest uporządkowana i pozbawiona wszelkiego czaru, jak banalny salon.

— A skąd wiesz, że naprzykład w tym salonie niema pierwiastku tajemniczości — rzekł porywczo Bunny — czy nie pojmujesz, że największą tajemnicą jest człowiek. Cóż ty wiesz o mnie: naprzykład — o mojej subtelnej, niezwykłej, złożonej, tajemniczej duszy. Ja także nie znam twojej duszy. A teraz wyobraź sobie mężczyznę, zakochanego w kobiecie, tak jak to się zdarzało w dawnych, romantycznych czasach, gdy miłość była zlaniem się dwuch dusz — czyż dwoje zakochanych ludzi nie są dla siebie zagadką, tajemniczym sfinksem?.. A na czem polega radość jaką daje miłość? miłość jest nieustanną walką o duszę partnera, usiłuje ona za wszelką cenę przeniknąć tajemnicę sfinksa. Radość jaką sprawia odsłonięcie rąbka tajemnicy stanowi również cząstkę owego romantyzmu, o którym mowa. Pociesz się, moja droga — na świecie nic się nie zmieniło, pioruny i zawieruchy pozostaną tajemnicą; do końca świata będą kwitnąć kwiaty i szumieć deszcze, a człowiek zawsze będzie usiłował odkryć tajemniczy związek jaki istnieje między zjawiskami przyrody, a jego własnem ja. Widzisz więc, że i dzisiaj jest miejsce na uczucia romantyczne. Świat nie przestał być tajemniczym.

— No dobrze — odparła Eleonora — daruję ci tę tajemnicę, ale przyznaj, że świat dzisiejszy wyblakł, stracił blask i barwę. Wszystko jakby poszarzało. Nudno jest i zbyt jednostajnie.

— Przyjrzyj się zachodzącemu słońcu. Czy również wyblakło? czy latarnie mniej jasno świecą czarną nocą, czy zmniejszył się blask oświetlonej Oxford street?..

— Ale życie ludzkie jest szare i monotonne.

— Właśnie życie ludzkie stało się barwne i niezwykłe, mieni się jaskrawemi kolorami, jak kalejdoskop, — ciągnął dalej podniecony Bunny. Sądzisz może, że niema romantyzmu dlatego, że ludzie nie noszą pancerzy, nie walczą na miecze i nie uprowadzają panienek, na spienionych dzianetach. Pleciesz głupstwa, moja droga. Powiadasz, że życie nasze jest ograniczone ustawami, skrępowane przepisami i artykułami kodeksów towarzyskich, że nie wolno nam zaspakajać dzikich zachcianek i dokonywać szalonych czynów, jak nasi przodkowie. Czyżby? Otóż właśnie dlatego, że chcąc zaspokoić dziką zachciankę musimy przedrzeć się przez gęstwinę kodeksu, wyłamać szlabany dziesięciu przykazań, stratować przeszkody, stawiane na drodze przez panią opinję, każdy nasz wybryk odbija się głośnem echem. Mówisz, że nic się nie dzieje, że niema niespodzianek? Jakto?... każdy dzień przynosi wiadomość o zbrodniach i wojnach, każdy dzień przynosi wieść o wstrząsających tragedjach... Może chcesz mi dowieść, że niema dzisiaj miejsca dla wielkich namiętności? Mylisz się — właśnie dzisiaj człowiek romantyczny może zaspokoić głód niezwykłości. Co pan o tem sądzi, panie Vellacot?

Znużony życiem mężczyzna patrzał z nieukrywanym zachwytem, na młodego zapaleńca. Ileżby dał, żeby móc odzyskać promienną wiarę w życie.

— Dopóki istnieć będą dwie potężne namiętności — głód i miłość, dopóty świat nie wyzbędzie się pierwiastku romantyczności.

— Ależ większość ludzi nie zna uczucia głodu — zauważyła Lady Dykes, z pewnością siebie, właściwą osobą tępym.

Bunny spojrzał na Jaspera porozumiewawczo. W jednej chwili zawarli niemy pakt, jaki łączy ludzi przeczulonych i tworzy międzynarodową masonerję nerwowców, którzy przeszli przez ogień cierpienia. Dusze ich wybiegły naprzeciwko siebie. Tak się rozpoczęła ich przyjaźń.

Przyjęcie dobiegało końca. Bunny podszedł do lady Alicji, by ją pożegnać. Pociągnęła go za ciężką zasłonę, odgradzającą salon.

— Źle wyglądasz — rzekła z niepokojem — co ci jest, kochanie?

— Nic mi nie jest, Alicjo. Zdrowy jestem jak młody koń.

— Przepracowujesz się, Bunny. Nie miałeś wakacyj. Dlaczego nie przyjechałeś w zeszłym miesiącu, do Greybrooke? Było cudownie — taki przedziwny spokój... No i czekały na ciebie tysiące kuropatw — dodała z uśmiechem — poprostu umierały z ochoty, żebyś je zabił...

— Musiałem siedzieć w mieście — odparł — wierzaj mi, że nie mogłem się ruszyć.

— Chciałabym teraz cię zmusić do wyjazdu — mógłbyś przecież wyjechać na wieś. Cały dom jest do twojej dyspozycji. Wiesz o tem...

Ujął jej rękę i przywarł do niej ustami.

— Jesteś najsłodszem, najmilszem, najbardziej szczodrem stworzeniem — rzekł z uśmiechem —

byłbym zimnym draniem, gdybym tego nie oceniał. Ale ja naprawdę nie mogłem wyrwać się z Londynu, w zeszłym miesiącu. A teraz...

— A teraz? — powtórzyła Alicja.

— Także muszę zostać w Londynie. Zresztą— dodał wybuchając śmiechem — myślisz, że mnie pociąga wieś bez ciebie. Co ja robiłbym w tym wielkim pałacu, bez twego towarzystwa. Czy nie zdajesz sobie sprawy, jaka to rozkosz obcować z tobą?

— Czyżby? — zapytała przekrzywiając figlarnie głowę.

A na przyszły raz, żebyś mi lepiej wyglądał. Nie

— Jetsem zachwycony panem Tredgoldem —

— No więc żegnaj, drogi Bunny.

A na przyszły raz żebyś mi lepiej wyglądał. Nie znoszę takich kredowo-bladych twarzy. I nie każ na siebie długo czekać...

W salonie czekał na Alicję Jasper. Chciał się pożegnać.

— Jestem zachwycony panem Trelgoldem — rzekł do niej.

Alicja spojrzała nań błyszczącemi oczami.

— Cieszy mię, że pan poznał się na Tredgoldzie — odpowiedziała. Oczywiście oczarowała pana jego młodość, jego zapał. Młodość Bunny'ego promieniuje zdrowiem i radością.

— Młodość — powtórzył Jasper — no tak, on jest bardzo młody...

Spotkali się w hallu, na dole. Bunny wkładał właśnie palto, wyszli więc razem na ulicę.

— W którą stronę pan idzie? — zapytał Jasper.

— W stronę Bloosbury.

— Ja również. Czy pan chce jechać taksówką, cab'em, pociągiem, czy może pójdzie pan piechotą?

— Muszę iść piechotą — odrzekł Bunny — ale pan chyba...

— Ja zawsze chodzę piechotą — odparł Velacot.

Wieczór był mroźny. Na bezchmurnem niebie zapalały się światła, czasami przemknęła po niem srebrna smuga, ostra jak miecz.

— Poczciwa Eleonora twierdzi, że niema nic tajemniczego — szepnął Bunny.

Zaczęli tedy rozwijać przerwaną dyskusję, ale gdy doszli do Sloane Street, młody człowiek zachwiał się i chwycił oburącz żelazny pień latarni. Jasper ogarnął go ramieniem. W mętnem świetle gazowej latarni twarz Bunnyego sprawiała wrażenie trupiej maski.

— Tak mi jakoś dziwnie, — szepnął zbielałemi wargami — w głowie mi się kręci. Czuję że zemdleję.

Jasper skinął na cab'a, pomógł Bunny'emu wsiąść do wnętrza. Zatrzymali się przed otwartą tawerną. Jasper przyniósł Bunny'emu kieliszek brandy i przytknął mu go do ust.

Bunny zachłysnął się i wypluł wódkę na ubranie.

Skoro cab zatrzymał się przed mieszkaniem Jasper'a, na Gower street, Jasper zpomocą dorożkarza wprowadził Bunnyego do jadalni. Bunny leżał teraz na sofie, z zamkniętemi oczami. Po chwili uniósł się nieco na łokciach, i rozejrzał się wokoło.

— Lepiej panu? — zapytał troskliwie Jasper.

— O tak, znacznie lepiej — odrzekł Bunny siadając na kanapie, ale ja muszę koniecznie wrócić do domu, na Great Coram street.

Zakaszlał nerwowo i znowu jął się rozglądać. Boczny świecznik umocowany do ściany rzucał blask na jego wyświecony smoking i łatane obuwie.

Kaszel Bunnyego obudził w Jasperze pewne podejrzenie, łatany półbucik dopowiedział mu resztę. Z rubaszną życzliwością ujął młodzieńca pod ramię i zapytał.

— Niech mi pan powie, co pan dzisiaj jadł na obiad?

Bunny zaśmiał się nienaturalnie.

— Menu było niezbyt skomplikowane. Zdaje się, że wcale nie jadłem obiadu.

Vellacot sięgnął po butelkę wina, stojącą na stoliku i talerz z biszkoptami.

— Narazie niech pan się tem pokrzepi i czeka na mnie — rzekł, wychodząc z pokoju.

Nieliczna gromadka domowników pogrążona była we śnie. Nawet Cudby spał jak zabity w sypialni na wyższem piętrze. Jasper wszedł do kuchni na palcach, jak odkrywca nowych lądów. Zresztą w dawnych czasach miewał nieraz okazję zaopatrywać się w jadło, w niezwykłych okolicznościach. Bezszelestnie wyjął ze spiżarni półmiski, ustawił je na tacy i skradając się jak złodziej, wrócił do jadalni. Bunny jadł łapczywie biszkopty. Na widok Jaspera zaczął się sumitować i przepraszać go za kłopot.

— Jedz pan i nie gadaj tak dużo — rzekł rubasznie Jasper, siadając obok Bunny'ego. Mówiąc to, ukroił sobie potężny kawał chleba i sera i zaczął go jeść łapczywie, podczas gdy zgłodniały poeta rozprawiał się z porcją zimnego pasztetu.

Niebawem za sprawą zacnego wina wstąpiła w niego energja.

— Jak to ładnie z pańskiej strony! — Co jabym zrobił bez pana — mówił z chłopięcem uniesieniem — a swoją drogą wstydzę się strasznie, że tak się spisałem.

— Nigdy nie trzeba wstydzić się odruchów własnej natury. Natura jest szczera. A teraz powiedz mi pan, ile razy na tydzień pan jada obiad?

Bonamy Tredgold rozejrzał się wokoło. Skromna jadalnia, stół nakryty czerwonem suknem, poczciwa twarz pana domu, który w tej chwili zajadał łapczywie zwykłą pajdę chleba, — wszystko to stanowiło niezwykle ujmujący kontrast, z jego legendarną fortuną. Bonamy z coraz większem zaufaniem odnosił się do nowego znajomego. W pierwszej chwili gdy Jasper pozostawił go samego w pokoju, jego wielkopańska natura buntowała się przeciwko poniżającemu uczuciu słabości. Urażona miłość własna, cierpiała nie mniej boleśnie, niż wycieńczony organizm, szarpany skurczami głodu. Poprostu w głowie się nie mieściło, żeby dumny poeta miał przyjmować kawałek chleba, z ręki bogacza. Teraz jednak patrzał już na to innym wzrokiem. Jasper z tak niekłamaną życzliwością odnosił się do niego, że można było śmiało, bez ujmy dla honoru, przyznać się do klęski. Odpowiedział przeto bez wahania, lecz z humorem.

— Jadam obiady niezbyt często. Widzi pan — dodał poufnym tonem — gdyby te djabły wydawcy i redaktorzy płacili na czas, wszystko byłoby w porządku. Ale szelmy nie chcą być punktualne. Np. dzisiaj rano powinienem był dostać sporo pieniędzy. No i jakoś nie nadeszły. Pan wydawca dostał grypy, więc niby to nie chciał się męczyć podpisywaniem czeku. No, ale jutro zapłacą mi zpewnością.

— To świetnie. Ale w tej chwili niema pan zapewne ani grosza w kieszeni.

— Ani pół grosza — poprawił ze śmiechem Bunny. — Mniejsza z tem. To przecież niema najmniejszego znaczenia.

(D. c. n.)

Filiżanka herbaty

Obok ekspertów, klasyfikujących z mistrzostwem smaki i aromaty: win, herbaty, kawy, perfum, tytoniu, dobrze byłoby powołać do czynu ekspertów życiowych, wyszkolić z nich zastęp władczych instruktorów, którzy nauczyliby nas odnajdywać „smak i aromat“ życia poprzez bagatelizowane drobiazgi.

Strząsnąć z nich zabójczą, usypiającą wrażliwość, wyposażyć drobne, a jakże nieraz cenne, dobre i miłe przeżycia w należny im wdzięk, w słodycz, których docenić nie umiemy.

Drobiazgi?

Z właściwą naturze ludzkiej przekorą obchodzimy się z niemi niesprawiedliwie.

Te przemiłe bagatelizujemy — te dokuczliwe wyolbrzymiamy.

Niema w nas naogół jasnej, władczej, twórczej radości życia, góruje nad nią zdolność do ponurego nastroju. Przyzwyczajamy się tak łatwo do dobrego, tak zapalczywie zaostrzamy kanty przeciwności.

Trzeba iść w życie z uśmiechem.

Bo czyż nie jest uśmiechem chwila miłej przez telefon gawędy, kiedy po wywołaniu numeru słyszymy z oddali czyjś drogi i miły głos, od którego żywiej uderza serce.



Czyjś drogi głos, od którego żywiej uderza serce.

A półcień ciepłego w tonie abażuru, a filiżanka gorącej, aromatycznej herbaty rozkoszne podwieczorkowe przyzwyczajenie.



Półcień ciepłego w tonie abażura...



Filiżanka aromatycznej herbaty...

Dla tej, która umie się uśmiechać do życia — uśmiechem będzie nietylko wonny dym ulubionego papierosa, ale nawet i zbawcza agrafka, która w chwili tualetowego kłopotu staje się doraźnem wybawieniem.



Wonny dym ulubionego papierosa...



Nawet zbawcza agrafka...

Nie, doprawdy tyle jest w życiu naszem miłych drobiazgów, że pod ich władczym wpływem można wyszkolić się w odporności na dokuczliwe kłopoty. Umieć im przeciwstawić uśmiechnięty optymizm, to wyzwolić się spod ich panowania.

Prawda, że „oczko“ uciekające z szybkością strzały wzdłuż jedwabnej pończoszki pani; torturujący stopę, nowy pantofelek; złowroga cisza w słuchawce telefonicznej, kiedy tak bardzo pragnęłyśmy zastać „go“ w domu; zegarek, spóźniający się podstępnie, a nawet lusterko co dokumentuje pierwszą zmarszczkę, lub nieznośny pryszcz formujący się właśnie w przeddzień oczekiwanego „z nim“ spotkania, to dokuczliwe

i niewygodny pantofel



„Oczko" uciekające z szybkością strzały wzdłuż pończochy..

drobiazgi, których ukłucia można jednak złagodzić uśmiechem!

Pesymistka powie wprawdzie, że „uśmiechy" znajduje na swojej drodze z takim wysiłkiem, jak prawdziwe grzyby w „niegrzybnym" lesie, natomiast przeciwności wyrastają przed nią, jak przysłowiowe grzyby po deszczu.

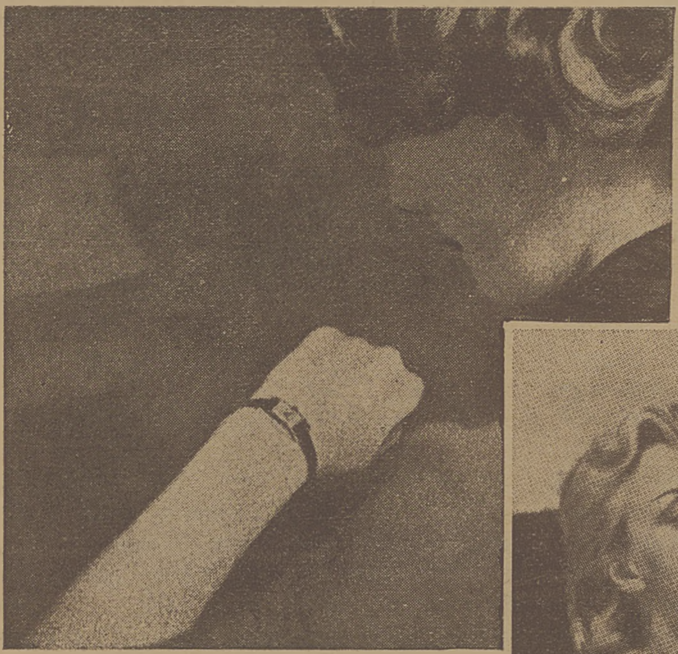
Ale... ale to właśnie cecha usposobienia.

Bo czyż nie jest rozkoszą sam fakt przebudzenia się bez drobnych dolegliwości, albo ze świadomością wydanych w przeddzień dyspozycyj, które odciążają od udręki dysponowania obiadu?



Nowy pantofelek, torturujący stopę pani...

A stosy szeleszczących pod stopami liści rozgarniane w czasie rannego spaceru? A koronkowa sędzielina na smutnych jeszcze wczoraj gałęziach drzew? A niebo o zachodzie słońca, z całą gamą subtelnych odcieni — od purpury i złota do szarego fioletu i chłodnego seledynu — arcydzieło najlepszego w świecie akwarelisty?.. Księżyc w lisiej czapie, co wróży śnieg oczekiwany przez zapaloną narciarkę. W lecie skaczący w górę barometr w przeddzień planowanej wycieczki. Zniżkowy bilet, zdobyty na niedostępne dla naszego budżetu upragnione przedstawienie. Oczekiwana dawno książka, która przypadła nam wreszcie w udziale. Dobrze leżąca sukienka.



Spóźniający się podstępnie zegarek...

Róża w smukłym, jakby dla niej stworzonym wazonie, lub pęczek wonnych fiołków, zwiastujący powrót wiosny.

Ożywczy smak soczystego owocu. Melodja płynąca ku nam z drugiej półkuli przez fale eteru.

Zasłyszana nieoczekiwanie przez ścianę, o zmroku muzyka — kojąca i porozumiewawcza— jak braterskie pozdrowienie. Rozkoszny dotyk jedwabnej bielizny. Smuga subtelnych perfum. Chwila upragnionego wypoczynku po zdrowym, prowadzącym do celu, trudzie.

Drobiazgi?

Może, ale ileż w nich cennej treści:



Złowroga cisza w słuchawce telefonicznej...

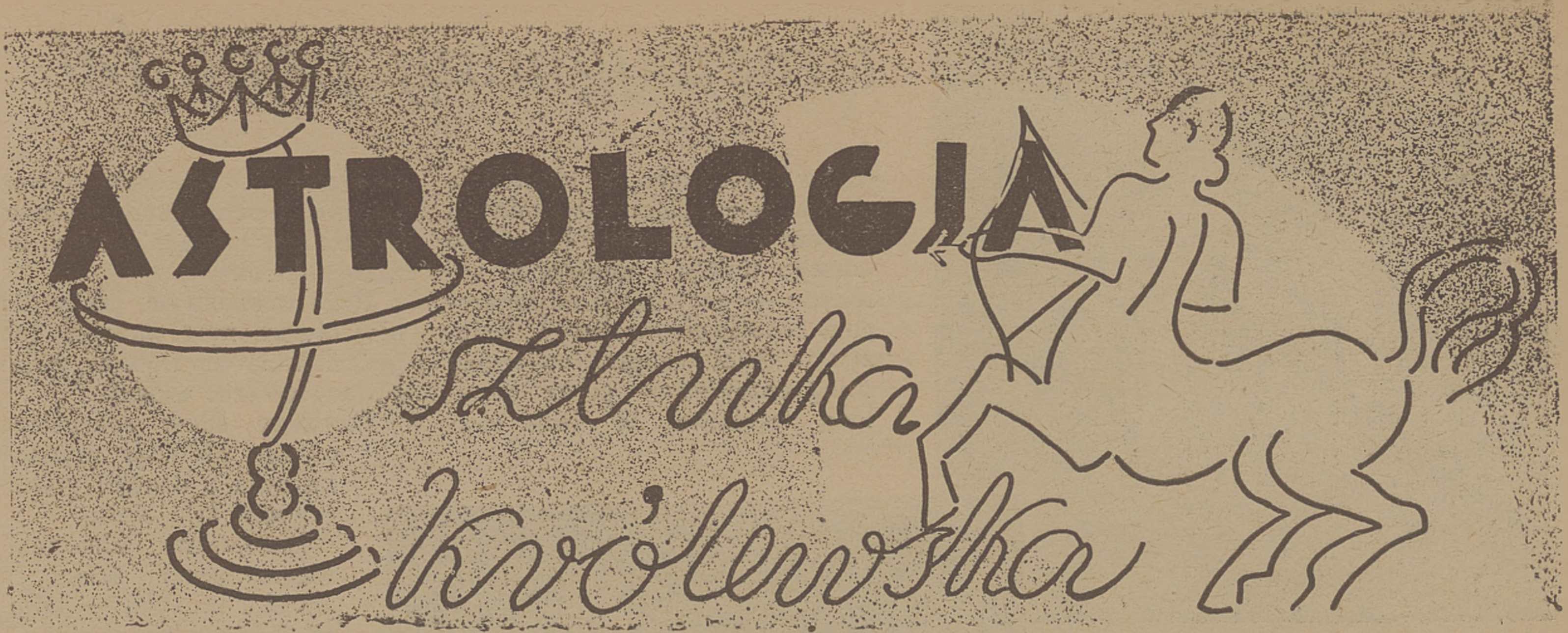


Pryszcz, formujący się w przededniu oczekiwanego „z nim" spotkania...

One zabarwiają chwilę bieżącą, nasycają ją smakiem i wonią, one wytwarzają nastroje przelotne, a jednak ważkie, bo z nich powstaje „atmosfera" naszego „ja".

Życia nie wolno łykać, jak niesmacznego lekarstwa. Ma ono swój rozkoszny smak dla wysubtelnionego podniebienia.

N-ska.



Astrologja, czyli nauka pozwalająca odczytać z gwiazd charakter, zdolności i dolę poszczególnego człowieka, — jest starą jak ludzka tęsknota i nieszczęście. Po wszystkie czasy, udręczone dzieci Adamowe wznosiły oczy ku granatowym przestworzom nieba, napotykały błyszczące punkty nieznanych światów i usiłowały z nich wyczytać los... Czy się nie odmieni na lepsze?.. czy zło się nie przesili?..

W starożytności nazwano ją „sztuką królewską", gdyż tajniki jej oparte na matematycznych wyliczeniach, dostępne były jedynie uczonym kapłanom i monarchom. W chwili obecnej, zwłaszcza w Polsce, spospolitowano zanadto jej imię, wydano ją coś nie coś na pastwę drwin ulicznej gawiedzi. Jest to proste nieporozumienie. Dostojna ta dama nie traci jednak nic ze swej wrodzonej godności.

Wszystko cokolwiek istnieje we wszechświecie — pozostaje w stosunku wzajemnej zależności, wzajemnego na siebie oddziaływania. Ciała niebieskie, olbrzymie globy, rezerwoary potężnych sił, nie pozostają bez wpływu na ziemię i wszystko co na niej istnieje. Znamy przejawy oddziaływania słońca, księżyca, nie znamy przejawów oddziaływania innych ciał niebieskich. Oddziaływanie to jest jednak faktem, przyjętym przez uczonych za pewnik. Na tym pewniku stoi gmach astrologji. Układ gwiezdnych konstellacyj w chwili poczęcia i urodzenia człowieka zawsze odmienny w każdej minucie i pod każdym stopniem szerokości geograficznej, wyciska piętno trwałe, niezniszczalne na strukturze fizycznej i psychicznej danego osobnika, — a losy jego.. — to tylko logiczny wynik jego cielesnoduchowych predyspozycyj.

Najdawniejszem, pisanem dziełem o astrologji — są książki Klaudjusza Ptolomeusza, datujące mniej więcej z r. 126 przed Chr. Był on jednym z uczonych szkoły aleksandryjskiej i za czasów cesarzy Hadrjana i Antoniusza Piusa cieszył się ogromną sławą.

Nie będziemy tu wyliczali znanych uczonych mężów, którzy imionami swemi przyozdobili karty dziejów astrologji, niepodobna jednak pominąć milczeniem nazwiska słynnego matematyka i astronoma Kepplera (1571—1630), który miłował astrologję i robił horoskopy wybitnych osobistości epoki.

Horoskop człowieka, czyli wykaz konstelacyj w chwili jego urodzenia, jest to ściśle mówiąc — formuła danego człowieka: postać zewnętrzna, zdolności, charakter, możliwości „dojścia" do czegoś w życiu i — śmierć. Na powierzchni koła, nakreślonego zwykłym ołówkiem, szereg znaków i kresek... Tak wygląda w oczach laika prawda o jednym poszczególnym człowieku — wydarta gwiaździstemu niebu.

Czy sprawdza się to jednak? Czy nie jest to zwyczajna „bujda"?...

Nie jest to wprawdzie „bujda", ale niezawsze się sprawdza. Aby się sprawdziło — musi być horoskop zrobiony dobrze, a to nie jest bynajmniej łatwą rzeczą. Wymaga wiedzy i umiejętności technicznych. Jeden ze starych astrologów powiedział kiedyś: „Gwiazdy nie kłamią, tylko ludzie kłamią o gwiazdach..." A zdanie to nie potrzebuje komentarzy.

Ktoś z czytelników zapyta może:

— Więc wszystko jest przewidziane, wszystko zapisane już z góry w księgach przeznaczenia, więc wola, wysiłek — na nic? Usiąść — spleść dłonie na kolanach i „odmówić" wiersz Remigjusza Kwiatkowskiego:

„Nie uganiaj się za dolą, sama cię
nawiedzi..."

I to także nie. Czyż neguje kto wolną wolę człowieka w granicach praw żelaznych rasy, klimatu, dziedziczności? Nie. Dlaczego miałby ją negować w granicach gwiezdnych konieczności? Wysiłek, sprzeciw i modlitwa, ta najszlachetniejsza, najbardziej ludzka forma sprężenia woli — zmienić mogą wszystko.

Bo z tą wiedzą rzeczy zakrytych przed oczami zwyczajnego śmiertelnika, to jest tak, jak powiedział świetny stylista, Aleksander Świętochowski w swej fascynującej noweli „Klub Szachistów": „Źle jest wiedzieć — i źle nie wiedzieć". *Waga.*

Alfons Karny

Życie Karnego, laureata miasta st. Warszawy, było dotychczas trudne i ciężkie, pełne twardych zmagań.

Wychowany w przytułku dla sierot, nie znał beztroskiej radości dziecięcego uśmiechu, i co ważniejsze w świadomości jego, dziś dojrzałego mężczyzny, pozostała bolesna tęsknota za ciepłem domu rodzinnego.

Wczesne dziecięctwo Karnego, to terminowanie w piekarni, drukarni, introligatorni, zetknięcie Karnego z ludźmi, wyzyskującemi go dla usług drobnych, męczących. Pozorna uległość, pracowitość, nieustępliwie zawzięta z jednej strony, z drugiej nieprzeparta chęć swobody: wędrówki od wsi do wsi, tam, gdzie ładny widok, tam, gdzie pięknie na chórze śpiewano kościelnym.

Żarzy się w nim jakiś ogień wewnętrzny, który wszystko co łatwe porzucić każe i iść po jakieś nieokreślone, wielkie zdobycze w życiu.

Oberwany, bosy i głodny, wraca Karny do miasta rodzinnego, Białegostoku, ima się rozmaitych robót, plecie słomianki, pracuje u rzeźnika.

Potem w „Klubie Obywatelskim" był chłopcem do wszystkiego, lubianym za zręczność i dowcip powiedzeń. Żywo stoją mu przed oczami miedziaki, otrzymywane za podawanie palta i wielka awantura, gdy wy-

kryto, że sypia — zwinięty w kłębek w szafie, w lokalu klubu. W tym to czasie ma wreszcie sposobność, umiejętność czytania zdobytą na książce od nabożeństwa zastosować i do innych. Namiętność przenoszenia się z miejsca na miejsce, budzi się w nim znowu, zaciąga się do wojska polskiego, przebywa na froncie, lub zostaje odkomenderowany do służby kancelaryjnej.

Kiedy wreszcie i w jaki sposób odzywa się zamiłowanie artystyczne? Do Słonima ma przyjechać Naczelnik Państwa — Józef Piłsudski, któż to potrafi powiedzieć, jak zbudować i przystroić bramę tryumfalną? A no jest taki, co to porządku pilnuje w kancelarji, półki starannie ustawia, dba o czyste firanki: Alfons Karny.

Zwolniwszy się z wojska, szuka pracy lecz napróżno — wstępuje do policji.

Gdy trzeba napis zrobić, laurkę napisać, orzełka wymalować, zwracano się do mnie, zacząłem też wtedy szkicować głowy, twarze mych kolegów. Byłem takim dziwnym policjantem mówi, który nie zrobił nigdy żadnego protokułu, a tylko bawił się w perswazje, tłomaczenia. Raptem powstał bunt, za wszelką cenę dostać się trzeba do Warszawy, nie pomogły namowy, nie odstraszyły przestrogi, bez grosza przy duszy, przybył Karny do stolicy. Dom noclegowy. Długie wędrówki od redakcji do redakcji z rysunkami piórkowemi. Punkt oparcia w „Iskrach": stała pensja, 2 lata pracy nadmiernej, męczącej nieznośnie oczy i marzenie dostania się do Akademji Sztuk Pięknych. Przypadek: brak miejsca na grafice, skierowuje Karnego do klasy profesora Breyra, na rzeźbę.

Przechodzą miesiące i lata szalonej, fanatycznej pracy, całkowicie wypełnione nauką, zdobywaną szybko, olśniewająca radość twórczości. Zdobywane maleńkie pieniężne nagrody, potęgują jeszcze ambicje, odrzuca teraz Karny wszelkie zajęcia zarobkowe. Bez mieszkania, o głodzie, oddany tylko rzeźbie i nauce z ogniem temperamentu kroczy Karny coraz dalej. Siła jego charakteru przezwycięża wszystkie przeszkody (zdobywa maturę). Najcudniejsze chwile, to wyjazd za granicę, dzięki uzyskanemu stypendjum. Cały świat stawał otworem, pół roku bez troski o ciężki do zdobycia kawałek chleba!

Po powrocie przychodzą wyróżnienia i nagordy. W 1929 roku uzyskuje nagrodę na konkursie na głowy zasłużonych Polaków (Noakowski), Sportowym — (Skakanka): obecnie znajdująca się na M/S Piłsudski. W salonach IPS-u i Zachęty zdobywają uznanie „Autoportret", „Kotarbiński", „Młynarski", „Maszyński". Interesuje Karnego człowiek, jego maska. W czerwcu tego roku otrzymuje nagrodę Polskiej Akademji Umiejętności. Zdrowie nadwyrężone poczyna się psuć, zagrożone płuca nie znoszą wilgoci, stojąc na przeszkodzie wykonywania wielkich prac w mokrej glinie, których nie można zakryć pokrywami z blachy.

Warunki życiowe nie ulegają polepszeniu: nic się przecież nie sprzedaje, czasem przychodzą bolesne refleksje, że sztuka nikomu jest niepotrzebna, że życie wyrzuciło ją poza nawias. Natchnąć zrozumieniem sztuki masy, uczynić ją potrzebną, oto marzenia, które może kiedyś się spełnią. Opowieść z życia Alfonsa Karnego o momentach wstrząsających sumieniem każdego z czujących ludzi, dobiega końca.

Dwa miesiące temu uzyskana asystentura w Akademji Sztuk Pięknych, zapewnia możność opłacenia pracowni; a w dzień urodzin (ur. 10 listopada 1901) wiadomość radosna i niespodziana o pięknem i zasłużonem wyróżnieniu.

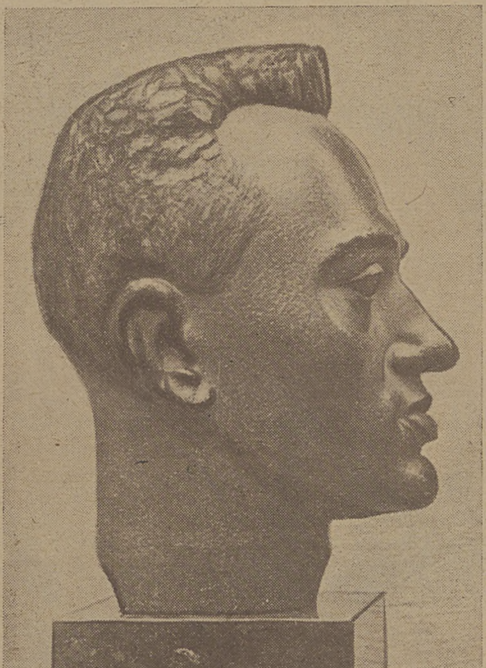
Na karcie tych faktów z życia, tyle łatwo wyczuwalnych przemilczeń bolesnych. Wielkiemu entuzjazmowi dla sztuki towarzyszy smutek ciężkich doświadczeń.

Jakie projekty na przyszłość? Jest ich wiele, zawsze są to marzenia stworzenia potężnych brył rzeźby. Tym wszystkim, którzy słusznie spodziewają się wielkich rezultatów w pracy Karnego, trzeba przypomnieć, że mając nawet tylko 34 lat życia poza sobą, można już być niem bardzo zmęczonym, i że trzeba mieć trochę wytchnienia, aby móc z rozmachem twórczym zabrać się do dzieł, zakrojonych na szeroką skalę.

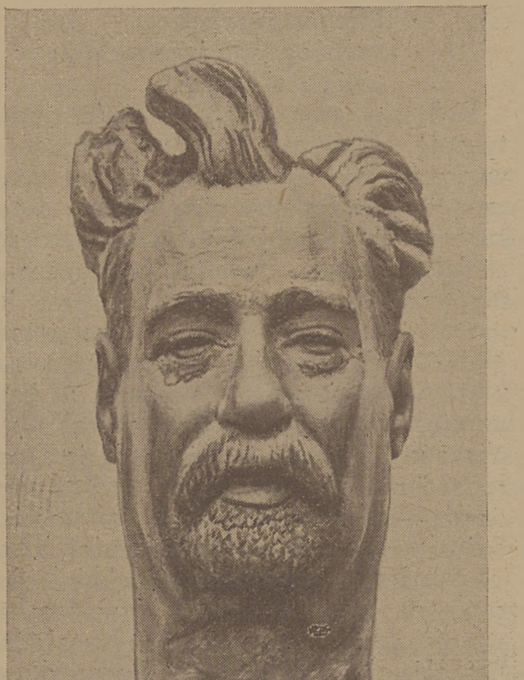
J. Puciata-Pawłowska.



Skakanka.



Autoportret. Bronz.



Kotarbiński. Bronz.

Rozmowy literackie

Poezja i proza.

Może wyjątkowo tego wieczora nie zasiądziemy przy okrągłym stole, w kręgu światła rodzinnej lampy.

Może schowamy do szufladek wszystkie szydełkowe robótki, serwetki richelieu, albo — niezacerowane pończochy czy skarpetki mężowskie. Wychodzimy na miasto. Dla niektórych, to jest zwykłe, niekłopotliwe wyjście za próg domu tylko; dla innych to już cała podróż z zaprzęganiem koni i zawijaniem się w futra i szale; a jeszcze dla inncyh — poprostu marzenie ściętej głowy. Któż nam jednak zabroni marzyć, od tego jeszcze nie płaci się podatku.

Jesteśmy tedy w mieście.

Asfalt albo błoto, lampy elektryczne, albo gazowe — wszystko jedno. Masa rzeczy ciekawych jest w mieście, wystawy, cukiernie, kina, — niewiadomo gdzie pójść.

O przepraszam bardzo! To jest czas poświęcony rozmowom literackim — idziemy więc do księgarni. Zobaczymy, co wiemy o nowościach, a czego musimy się dowiedzieć.

Uderza nas bogata barwność okładek i duże czarne litery, krzyczące: „nowość". Większość tych nowości już znamy: Wittlin, Nałkowska. O innych jeszcze nie wiemy nic. Między grubemi tomami powieści i opisów podróży (rodzaj teraz bardzo na czasie) chowają się dwie cieniutkie książeczki, ładnie, bez krzykliwej ornamentyki, wydane. Bierzemy do ręki jedną z nich: Śpiąca załoga — Marji Jasnorzewskiej. Przebiegamy oczami pierwszy wiersz, który poetka zamyka prześliczną strofę:

Gdy wątłą łódkę
Wicher przewraca
Szepczę, zbudzona
„Bóg i Akacja"

Robi się nam w sercu miło i poetycznie. Jeśli nie jesteśmy młode — wspominamy z uśmiechem miniony czas, a jeżeli mamy niewiele lat, oczekujemy nagle, od jutra, tysiąca szczęść.

Taką dziwną władzę nad duszami mają wiersze Jasnorzewskiej. Brak im może tytanicznej siły, i przepastnej głębi — ale są najczystszą poezją, zaklętą w muzyczność wiersza, w harmonję słów, w przedziwną wyrazistość obrazów. Wiersze te dźwięczą jak małe, srebrne dzwoneczki, o których opowiada Andersen w jednej ze swoich bajek, i tak, jak na dnie każdej z bajek Andersena leżała ukryta myśl, tak samo na dnie każdego dzwoneczka-wiersza Jasnorzewskiej leży maleńka filozofja. Filozofja, dopasowana do obrazu, który autorka maluje z jedynym w swoim rodzaju wdziękiem.

Drugi, skromny tomik wierszy, to Wojciecha Bąka — Brzemię niebieskie. W przeciwieństwie do srebrnych dzwoneczków Jasnorzewskiej, poezja Bąka brzmi, jak organy kościelne, ponure i pełne pokory w suplikacjach, albo głoszące triumf potężnem Veni Creator. Wiersze Bąka są pokorne i potężne zarazem, gdyż ten niewielki tomik, który trzymamy w ręku jest opowieścią o największem zmaganiu się duszy człowieczej, na jakie tylko zdobyć się ona może: o zmaganiu się jej z Bogiem. Pojednanie z Bogiem nie przyszło do Bąka prostą drogą dziecinnej modlitwy i młodzieńczej wiary. Zanim doszedł do stanu pokory i miłości, musiał przejść przez okres buntów i złorzeczeń.

Aż wreszcie odnalazł Boga, Boga przedziwnego, dalekiego od patetycznych słów biblji, dalekiego od sądu, surowości i kary. Bóg poety jest bliski, zrozumiały i dobry:

Mową polną, jak grusza maćkowa,
Jak pszenica, ziemniaki i dynie
Wypowiadam wiejsko i słowiańsko
Niesłowiańskie, płonące Twe Imię.
Mową stawną, jeziorną, trzcinową,
Chałupami zapatrzoną w niebo,
Twoje imie — gromkie i bezmowe
Pod niebiosa zachwycony śpiewam.

Brzmi w tem wierszu swoiste umiłowanie Boga, połączonego z przyrodą, z Ojczyzną, z pięknem. Ciekawa filozofja nowego, płomiennego chrystjanizmu.

Zofja Miszewska.

Dnia 6-go grudnia o godzinie 19-ej punktualnie — odbędzie się w Stołecznym Klubie Synarchistek, wieczór poświęcony pamięci Marji Konopnickiej.

W programie:

Słowo wstępne prezesa dr. W. Tarły-Mazińskiego.

Referat p. Sokołowskiej,

oraz część wokalno-muzykalna z łaskawym udziałem pp.: W. Hellmann, A. Ancewiczowej, oraz prof. Orłowa i prof. Chojeckiego.

Lokal Tow. Miłośników Wiedzy i Przyrody, Bracka Nr. 18 m. 30.

Budowniczy Solness Ibsena

w teatrze Kameralnym

Jest to jedna z tych nielicznych sztuk Ibsena, na której specjalnie trudno uczynić wiwisekcję, oddzielić mięśnie od kości, to znaczy ideologję od fabuły. Nie dlatego, broń Boże, by ideologja była mętna; Ibsen pisząc swe sztuki, zawsze dokładnie wiedział co chce powiedzieć, ale w „Budowniczym Solnessie" pragnie powiedzieć tak dużo, a właściwie mówi tyle rzeczy naraz, że w pierwszej chwili trudno wybrać najważniejsze. Nie można nawet kierować się tu poczuciem aktualności; choć wiele sztuk Ibsena wybija dzisiaj już dawno otwarte drzwi, ta jedna z niewielu dotyka spraw palących.



Adwentowicz i Grywińska w sztuce „Budowniczy Solness".

Są to: stosunek człowieka do Boga — Ibsen jest rzecznikiem pokory — będzie to strona filozoficzna zagadnienia, oraz walka młodości ze starością — zagadnienie dziś tak bardzo na czasie. Nie chodzi tu o walkę charakterów, zasad, poglądów. Prawo do życia, do sławy, do wielkości — oto hasło, które się stało punktem wyjścia dla tragedji budowniczego Solnessa. Był wielkim i najsławniejszym. Dla tej wielkości i sławy poświęcił, w pysze największej osobiste szczęście swego życia. A tu oto nadchodzi starość — dorasta nowe pokolenie młodych architektów, którzy za chwilę mogą zająć miejsce wielkiego Solnessa.

Solness walczy, okrutnie walczy z tą młodością, zamyka przed nią drzwi na cztery spusty. Nic przecież nie zdołało go uratować. Młodość przyszła podstępnie i niespodziewanie, przyszła z wyrazami miłości na ustach. Hilda, piękna, młoda Hilda, nie pozwala ustąpić z drogi swemu ukochanemu wielkiemu człowiekowi. Musi wejść na szczyt, jak za dawnych lat swej potęgi. Otumaniony ogniem młodości, pewny siły swego talentu Solness, wspiąwszy się na szczyty, stawia Bogu swe ultimatum życiowe. Bóg go nie wysłuchuje lecz strąca w przepaść. Takie jest patetyczne zakończenie tej patetycznej sztuki. Wzniosłość, kapie z niej kroplami, co już jest ponad wytrzymałość dzisiejszego widza, przyzwyczajonego do mówienia największych rzeczy w najprostszy sposób.

W reżyserji Adwentowicza nietylko nie stuszowano, ale wygrano ten denerwujący patos do ostatniej nuty. Jeżeli kto lubi rodzaj gry Adwentowicza — mógł cieszyć się dowoli jego naprawdę przedziwną w swoim rodzaju maestrją. Natomiast Grywińska, mówiącą np., „podaj mi krzesło", tonem, jakgdyby żądała cjanku potasu, była wręcz nie do wytrzymania. Co może zrobić z dobrej artystki złe dopasowanie do roli. Widz oddychał gdy na scenie pojawił się Rosłan, (dr. Herdal), albo Bystrzyńska (pani Solness). Robili przynajmniej wrażenie normalnych ludzi. Karnacka, jako pogardzona buchalterka, wyglądała żałośnie, a Michalewicza wogóle nie można było zauważyć. Dobry był Brokowski, w małej roli starego Browika.

Zofja Miszewska.

W domu z czerwonych cegieł

I.

Przeglądając dzienniki, przywykliśmy czytać, mniej lub więcej obojętnie, — codzienną rubrykę sądową. Ze szpalt gazety wygląda ku nam oblicze, na które spoglądamy często z lękiem, często z odrazą. Czasem, w ciekawszych wypadkach czytamy przebieg rozprawy i jej epilog. Jeśli oskarżony dokonał przestępstwa, jest winien — tak zwykliśmy uważać — w przeciwnym razie — jest niewinien. Więc tak prosto: winien lub niewinien?

Jest jednak i trzecia możliwość, a zachodzi ona wtedy, gdy człowiek popełnił przestępstwo, a nie jest winien, jest tylko chory, ciężko chory.

Widziałam ludzi, obciążonych winą przerażających zbrodni, od których drętwieje serce. Ludzie ci — to obecni mieszkańcy zakładów dla umysłowo chorych. Opowiadają oni, bez specjalnego skrępowania, — choć naogół nieśmiało — o swoich czynach. Opowiadają obojętnie, z pogodnym, często łudząco dobrodusznym wyrazem twarzy. Młoda matka, która na dalekiej obczyźnie, szukając zarobku, wpadła w nostalgję, powróciwszy, — niestety zapóźno do Polski, — zabija swoje małe dziecko. Teraz przebywa w zakładzie i, — na szczęście — nie uświadamia sobie zupełnie, czego dokonała. Kto w tym wypadku ponosi odpowiedzialność za śmierć małego, niewinnego istnienia? Czy naprawdę ta, której ręka chwyciła za morderczy nóż? Czy winne są tu warunki bytu, które zmuszają ludzi do szukania chleba na dalekiej ziemi, gdzie wszystko — niebo, woda, ludzie, mowa — są tak obce, że przetrzymać tej obcości nie sposób, że z początku tylko serce boli z tęsknoty, a w końcu coś się w głowie psuje, a potem już ręce nie wiedzą, co robią?

Albo taki młody chłopak, który w przeciągu niespełna roku, podpala 12 stodół i domostw. Schwytany, przyznaje się z łatwością. „Podpalałem, tak", odpowiada z pogodnym uśmiechem. Bada go się, starając uchwycić przyczynę, która go do zbrodni pchała. I tu natrafia się na ciemnię. Niewiadomo bowiem nigdy, co skłania tych ludzi do spełniania tego lub innego rodzaju przestępstw. Przy pożarze zachwyca chorego czerwona, fascynująca barwa ognia, ruch i zamęt, jaki powstaje na wsi. Zmieszany z tłumem, lub ukryty za chałupą, stoi sprawca nieszczęścia i lubuje się porywającym obrazem kształtów i kolorów. Nie zna on innych rozkoszy w życiu, jak oglądanie kłębowiska płomieni, strzelających wysoko w niebo. Przeważnie nie zdaje sobie w zupełności sprawy, że jest powodem cierpienia i łez. Nie ma wyobraźni, wszystko, co nie jest nim, jest bez znaczenia. Tu nie można operować przyjętemi kryterjami dobrego lub złego człowieka. Notoryczny podpalacz, który nie ma z dokonanego zniszczenia żadnego zysku, ani nie powoduje się chęcią zemsty — wyłamuje się z pod wszelkich logicznych sądów.

Psychjatrzy, którzy badają tych chorych, stają wobec nieprzeniknionej zagadki. Nie dla pieniędzy, nie dla zaspokojenia zemsty, więc dlaczego? „Ja nie wiem" — odpowiada najczęściej chory przestępca — „ja zrobiłem, bo musiałem, bo mus był we mnie".

Straszliwa tajemnica straszliwej choroby. Nie mogąc dotrzeć do bezpośredniego źródła działania, chcemy zbadać warunki życia tych ludzi, których jakieś ukryte, ciemne siły doprowadzają do zbrodni, do sali sądowej, do zakładów dla umysłowo chorych.

I tu natrafiamy na czynniki, które i w innych dziedzinach życia grają olbrzymią rolę: na nędzę i obciążenia dziedziczne, rzadziej na jakieś przejście i wstrząsy osobiste, niedorozwój umysłowy, degenerację z alkoholizmu ojca czy chorób rodziców. Brak dostatecznej opieki, nieumiejętne obchodzenie się otoczenia z chorym, zaniedbanie choroby w jej pierwszem stadjum — to warunki, sprzyjające rozwojowi cierpienia psychicznego.

Obowiązkiem państwowym i społecznym jest budowanie nietylko więzień, ale i szpitali, gdzie chorzy otaczani są opieką lekarską i gdzie traktują ich jak nieszczęśliwych, ale nie jak zbrodniarzy. Ale powiększenie sieci szpitali i zakładów jest — tylko środkiem pomocniczym.

Nie wystarczy zbrodni związać rąk, trzeba jej przeciwdziałać. Muszą się tu wziąć mocno za ręce: szkoła, która uczy, co jest dobre, co złe i wywiera olbrzymi wpływ na młode charaktery; higjena i medycyna, które z samozaparciem starają się cierpiące organizmy uleczyć i wyswobodzić z oków choroby; nowoczesny aparat wymiaru sprawiedliwości, którego celem jest nietylko karanie, ale i wychowywanie. Zagadnienie zbrodni i jej przyczyna muszą być również głęboko rozumiane przez instytucje społeczne, pracujące na terenie, który rodzi największe zastępy nieszczęśliwych, wyrzuconych poza nawiasy normalnego życia. Trzeba uzdrawiać obecne pokolenie, aby następne było zdrowsze i szczęśliwsze.

W okolicach Warszawy mieści się wielki zakład dla nerwowo i umysłowo chorych. W domach z czerwonych cegieł znajdują się ludzie, z którymi współżycie stało się dla otoczenia nie do zniesienia, lub którzy odesłani tu zostali na mocy wyroku sądowego.

W jednym z następnych numerów „Tygodnika", pragnę podzielić się z czytelniczkami, swojemi wrażeniami, odniesionemi podczas kilkorazowego pobytu w domu z czerwonych cegieł, w domu wielkiego ludzkiego nieszczęścia.

K. Tuwanówna.

Suknie wieczorowe



Rzadko, coraz rzadziej bywamy na wielkich, t. zw. reprezentacyjnych balach. Dosyć często natomiast wychodzimy wieczorem do teatru, do znajomych, na zebrania towarzyskie z bridge'em i tańcami, bywamy w restauracji i na dancingach.

Moda uwzględnia to nastawienie współczesnego życia towarzyskiego, poświęcając szczególnie dużo uwagi i inwencji tualetom wieczorowym skromnym.

Należą do nich w pierwszym rzędzie t. zw. tailleurs de nuit, składające się z powłóczystej spódnicy z ciemnego jedwabiu, bluzki z lamy lub zahoftowanego cekinami, czy dżetem, tiulu i żakietu z tej samej co suknia tkaniny, przypominającego krojem męski smoking. Albo — tylko z sukni i żakietu.

Taki żakiet stanowi składnik nieodzowny kompletu zwanego tailleur de nuit, nadaje mu właściwe piętno. Suknia głęboko dekoltowana, niemal nieistniejąca od strony pleców — przez połączenie jej z żakietem zatraca odrazu swój charakter balowego rozebrania, a nabiera pożądanych cech poprawnej elegancji, owego smart and correct, tyle cenionego w wysokiej krawieccżyźnie angielskiej.

Tailleurs de nuit pozwalają nader szczęśliwie łączyć emocjonujące rozkosze współczesnych tańców z poważniejszemi przyjemnościami, jakich dostarcza bridge. Do tańca żakiecik zdejmuje się, do bridge'a — wkłada. Możnaby, nie bez słuszności zauważyć, że rolę wieczorowych smokingów-żakietów do niedawna z powodzeniem pełniły wieczorowe sorties. W twierdzeniu tem znajduje się przecież pewna nieścisłość, a mianowicie: sorties pełniły swą rolę bez powodzenia. Drapowane, pelerynowe, kimonowe, szerokorękawne, zsuwały się z ramion własnym ciężarem i śliskością jedwabnych podszewek — przyczem nierzadko zapis bridge'owy uległ zatarciu, a co nerwowsi partnerzy — atakowi apopleksji.

Żakiet smokingowy siedzi na ramionach zdecydowanie i mocno; posiada dobrze wszyte, wąskie rękawy, które nie przeszkodzą ani w rozdawaniu kart, ani nie grożą bezpieczeństwu magicznych formułek zapisu.

Tailleurs de nuit stanowią najidealniejszy model sukni bridge'owej, co nie da się powiedzieć, niestety! o wszystkich modnych modelach sukien wieczorowych skromniejszych (petit soir), niektóre z nich miewają rękawy niebywale fantazyjne, przesadnie szerokie i długie.

Bardzo charakterystyczny dla mody obecnej, powtarzający się w szeregu kolekcyj — z pierwszorzędnych domów — jest model o inspiracji włoskiego średniowiecza, wykonany z najgęstszego crêpe romain, barwy dojrzałych śliwek albo bakłażanów (aubergine). Rękawy od ramion do łokcia ma wąskie, niemal obcisłe; od łokcia szerokie, rozcięte, zwisające prawie do samej ziemi, jak opuszczone skrzydła. Suknia przemarszczana pionowo przez środek przodu, z tyłu układa się w suty i powłóczysty tren. Dekolt nieistniejący z tyłu, z przodu tworzy skośne karo.

Spotykałam warjanty tego modelu, z zastosowaniem jedwabnej koronki ufarbowanej na kolor crêpe romain, z którego była uszyta suknia. Z koronki tej wstawiano kwadratowy płat pleców i rozcinane części długich rękawów.

Wschód modniejszy niż kiedykolwiek (powód — Abisynja) ma wiele do powiedzenia w zakresie mody wieczorowej. Bardzo dużo tualet strojnych popołudniowych i skromnych wieczorowych (granica nader subtelna i trudna do ścisłego przeprowadzenia) miewa kołnierze układające się na plecach jak suta draperja, a dające się narzucać na plecy jak kapturki.

Suknie takie nazywają się w modzie bieżącej „sari", gdyż stanowią mniej lub więcej dokładne kopje ubioru kobiet hinduskich, który tak się nazywa. Autentyczne hinduskie „sari" układa się na figurze z miękkich, jedwabnych, n i e s z y t y c h tkanin. Europejki, nie dziedziczące po szeregu minionych pokoleń kunsztu malowniczego układania draperji własnoręcznie — noszą „sari" krajane i szyte przez wykwalifikowane ręce artystek nożyc i igły. Jest to krój, którego z pomocą domowej krawcowej lepiej nie ryzykować.

Sute i fantazyjne draperje stanowią ulubioną ozdobę większości wieczorowych kreacyj (zdecydowany wyjątek stanowią taftowe krynoliny). Oryginalną nowość w zakresie modnych draperyj stanowi przekładanie ich p o d n o g ą, co daje efekt czegoś pośredniego między fałdzistym, antycznym peplosem, a tureckiemi, sutemi szarawarami.

Panie ceniące w ubraniu styl spokojnego wykwintu, powinny obejrzeć, (chociażby na fotografji) tualetę z czarnego satin, którą p. Smosarska prezentuje w Teatrze Nowym, w ostatnim akcie, mniej skądinąd udanego „Łańcucha" Morawskiej. Śnieżne gronostajowe mankiety przy wąskich, długich rękawach i wąskiej, połyskliwej, jak czerniona stal sukni - pochwie całość doprawdy prześliczna. I niezawodnie dystyngowana.

Well.



Suknia wieczorowa z błyszczącego jedwabiu.
Photo Paramount

Dbajmy o zdrowie i urodę

ZMARSZCZKI.

Zmarszczki — to nie wiek kobiety — to jej życie. Może je posiadać osoba dwudziestoletnia, — może być od nich wolną czterdziestoletnia.

Zmarszczki, to fałdy i załamania skóry, spowodowane niedostatecznym dopływem krwi do tkanek i pewnym trwałym, lub często pawtarzającym się, nerwowym skurczem mięśni twarzy, odzwierciadlającym nastroje: gniewu, niezadowolenia, zaciętości, zatroskania, uśmiechu. Są zmarszczki „ładne" i „brzydkie". Te ostatnie, niestety, znacznie częstsze. Twarz zupełnie gładka, bez wklęsłości i wypukłości, jak twarz kilkotygodniowego niemowlęcia, nie byłaby wcale piękną.

W sprawozdaniach z podróży i pobytu w Chinach, — czytamy nieraz, iż Chińczycy i Chinki zachowują do późnego wieku (lat 60-ciu), oblicze gładkie i młode, bez fałd i załamań. Zawdzięczają to w pewnej mierze naturalnemu układowi mięśni i kości twarzy, ale w znacznym stopniu również zrozumieniu elementarnych zasad higieny. Chińczyk, nawet człowiek z ludu, przebudziwszy się rano, wychyla kubek gorącej wody, dla pobudzenia funkcji jelit. U nas, lekceważy się przeważnie te rzeczy. A jest to podstawa higjeny i kosmetyki.

Choroby, zmartwienia, niedostateczne lub wadliwe odżywianie, brak świeżego powietrza, rujnują organizm, zubożają krew i przyśpieszają ukazanie się zmarszczek.

Chcąc zachować młodość twarzy, należy panować nad wyrazem swego oblicza, a więc przedewszystkiem nad nastrojami i kultywować sztukę pogodnego uśmiechania się.

Zmarszczki, które już się pojawiły, wymagają dłuższej, przynajmniej 6-ciotygodniowej kuracji i codziennych, nudnych, ale skutecznych zabiegów.

Podstawą będzie idealna czystość skóry, a więc mycie rano i wieczorem. Natłuszczanie skóry odpowiednim kremem. Masaż elektryczny, wibracyjny lub ręczny, stosownie do porady lekarza - specjalisty. Naświetlanie promieniami ultra - fioletowemi.

Dla osób, niemogących sobie pozwolić na te zabiegi, z tych, czy innych powodów, radzi się przestrzeganie skrupulatne zasad higjeny, odpowiedniej ilości snu i pokojowej gimnastyki. Okłady przemienne z gorącej i zimnej wody, poczem natłuszczenie skóry odżywczym kremem lub przynajmniej czystą oliwą. Pozatem wszystkie prace, wymagające nachylania się, a tem samem napędzające krew do twarzy, wykonywane codzień, systematycznie, przez kwadrans przynajmniej, powodują przypływ krwi do tkanek skóry głowy i twarzy, odżywiają je skutecznie i dają w kuracji przeciwzmarszczkowej nader dodatnie rezultaty. x.

PIĘKNOŚĆ RĘKI.

Piękność ręki — to przedewszystkiem kształt: długie, wrzecionowate palce, wąska dłoń, smukła linja przejścia napięstka w wiązanie przegubu. Są to oczywiście dary natury i o nich mówić nie będziemy. Nawet mniej hojnie przez przyrodę uposażone ręce mogą być miłe oku i przyjemne w dotknięciu, jeśli się je otoczy staraniem. Gładka, matowa skóra, różowy ton dłoni i połyskliwe jak blady koral paznogcie wynagradzają niejeden brak konturu. Nie należy wystawiać rąk na działanie mroźnego powietrza, — trzeba myć je w letniej, a nawet ciepłej wodzie, masować cierpliwie wieczorem, przez 5—10 minut dobrym tłustym kremem (bo skóra rąk bardziej jeszcze niż skóra twarzy ulega nadmiernemu wysuszeniu) kładąc głównie nacisk na palce i masując je od czubka w kierunku nasady. Na skórę bardzo wysuszoną, błyszczącą, jakby lakierowaną, — lub też nadmiernie czerwoną, działa zbawiennie zanurzanie rąk naprzemian w gorącą i zimną wodę, kilkanaście razy z rzędu, — poczem lekkie otarcie, nasycenie wilgotnej jeszcze powierzchni tłustym kremem, masaż (jak wspomniano wyżej) i przewiewne bawełniane rękawiczki na noc. Rezultat następuje szybko, po dwukrotnym lub trzykrotnym zabiegu, — ale utrwala się dopiero po przeprowadzeniu dłuższej kuracji.

Doskonale działa na ręce umycie ich w letniej wodzie, osączenie z wilgoci (nie otarcie) i wtarcie w skórę delikatnego toaletowego mydła. Ręce stają się miękkie i delikatne. Oczywiście jest to środek doraźny, stosowany wówczas, gdy chodzi o efekt natychmiastowy.

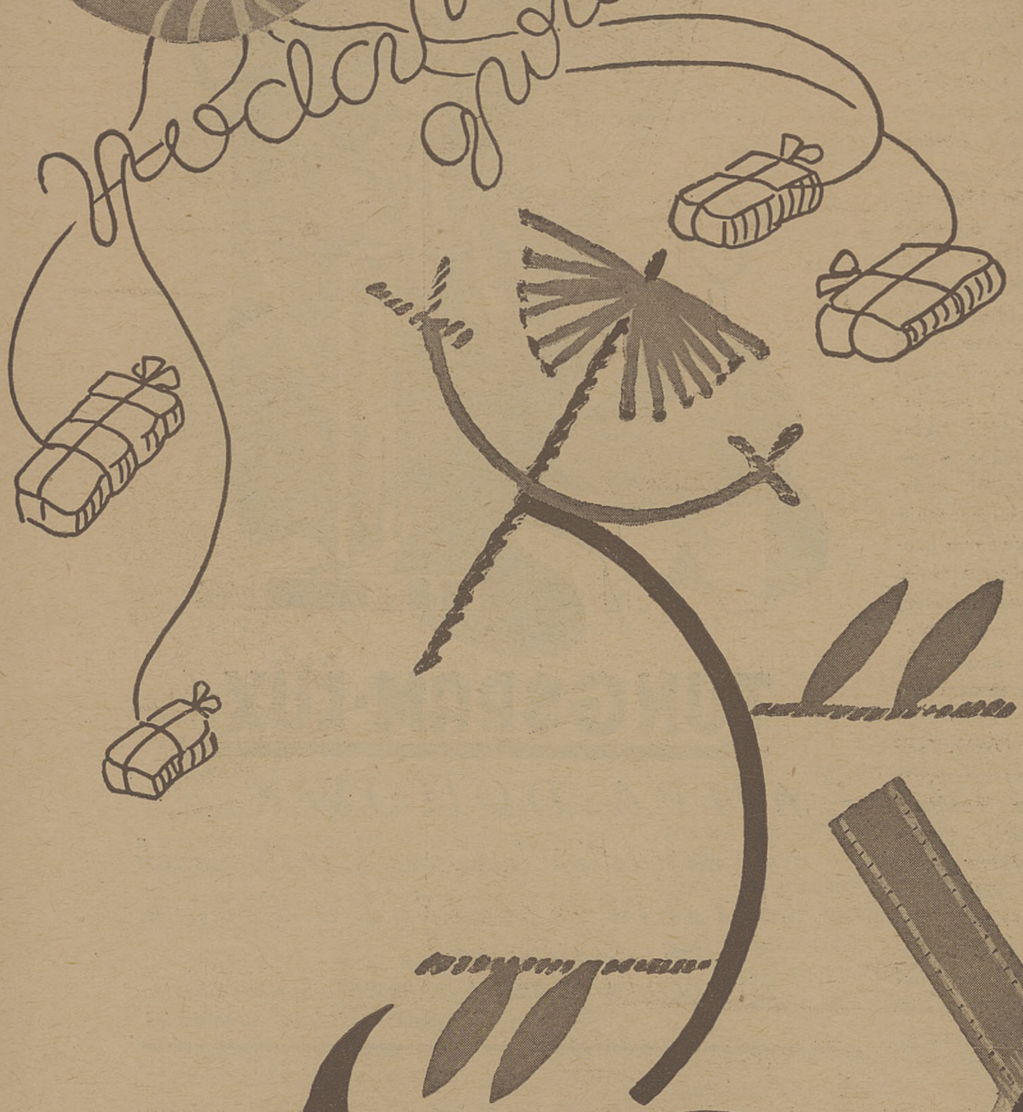
Ozdobą ręki są paznogcie. Wymagają obcinania, piłowania, szczotkowania i lakierowania, — przedewszystkiem zaś tłuszczu. Elegancka kobieta powlecze je przynajmniej raz na tydzień, na przeciąg kwadransa, warstewkę wazeliny lub oliwy, pozwoli im odpocząć od innych, drażniących zabiegów, a wytarłszy tłuszcz, zaśnie w rękawiczkach, nie zanurzając uprzednio paznogci w wodzie.

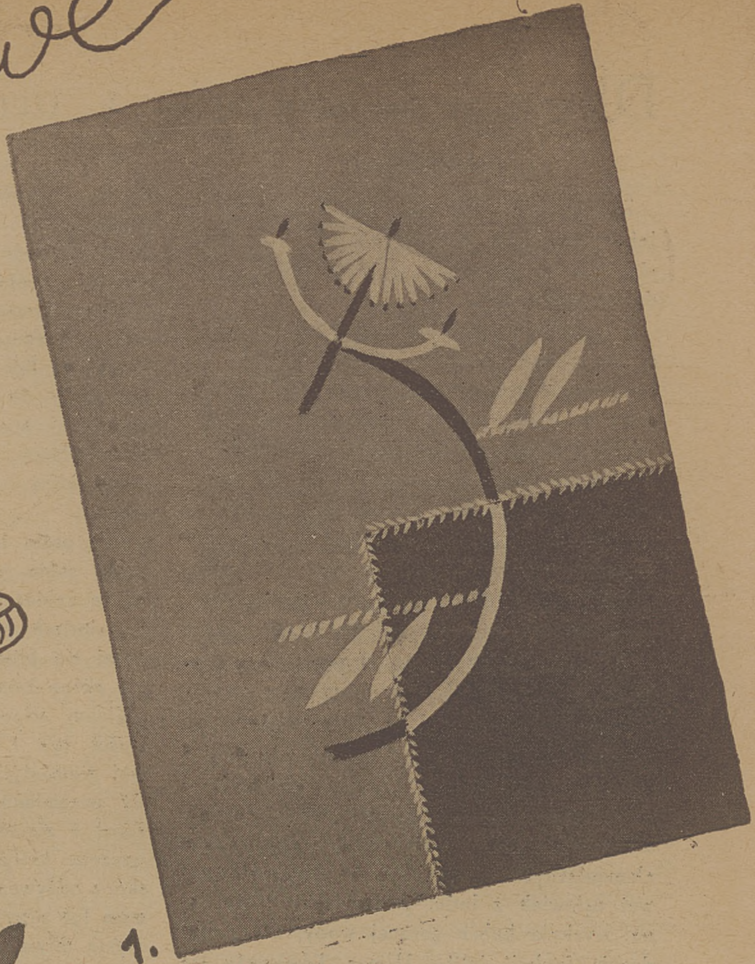
Sok cytryny działa znakomicie na oczyszczenie paznogci z śladów, jakie pozostawiają na nich zajęcie gospodarskie, atrament, kopiowa taśma maszyny do pisania i t. p. Działa też zbawiennie na wzmocnienie paznogci.

X.

Podarki gwiazdkowe







1.

1. OKŁADKA NA KSIĄŻKĘ.

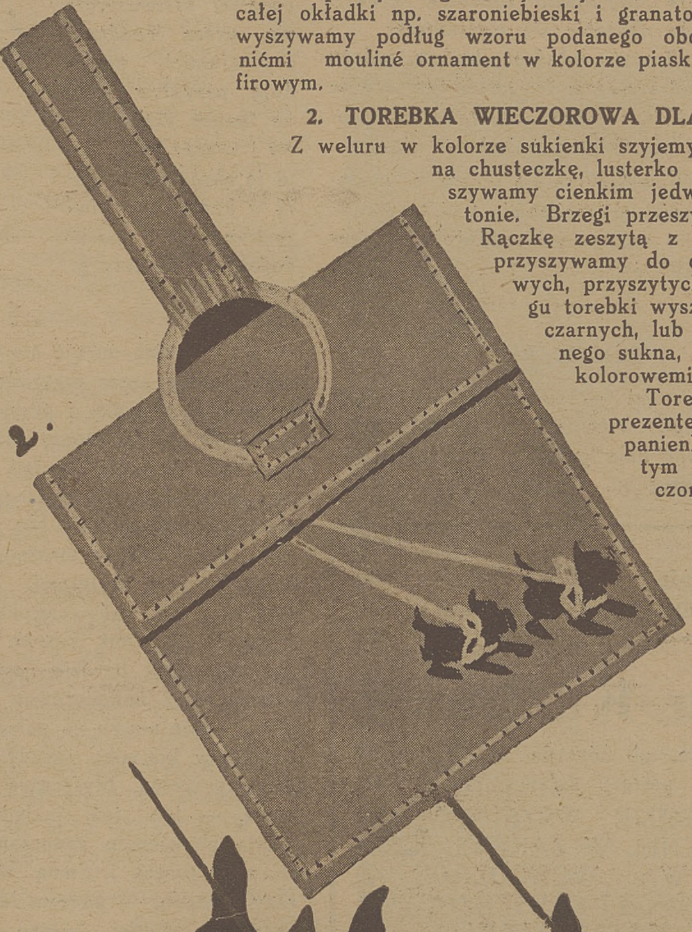
Okładkę robimy z sukna, płótna lub flory, z prostokątnego długiego kawałka, którego boki zakładamy jako dwie kieszonki do założenia na okładkę. Wierzch pokrowca na książkę ozdabiamy według podanego wzoru.

W prawym rogu naszywamy kwadrat o ton ciemniejszy od całej okładki np. szaroniebieski i granatowy jasny. Następnie wyszywamy podług wzoru podanego obok ściegiem płaskim, ni̇ćmi mouliné ornament w kolorze piaskowym, czarnym i szafirowym.

2. TOREBKA WIECZOROWA DLA PODLOTKA.

Z weluru w kolorze sukienki szyjemy prostokątną torebkę na chusteczkę, lusterko i t. p. Torebkę podszywamy cienkim jedwabiem jaśniejszym w tonie. Brzegi przeszywamy srebrną nitką. Rączkę zeszytą z tego samego weluru przyszywamy do dwóch kółek metalowych, przyszytych do torebki. W rogu torebki wyszywamy parę piesków czarnych, lub aplikujemy je z czarnego sukna, na srebrnej smyczy z kolorowemi kokardami.

Torebka ta będzie miłym prezentem dla naszej młodej panienki wybierającej się w tym karnawale na wieczorek szkolny.



2.



3. KWIAT DO SUKNI.

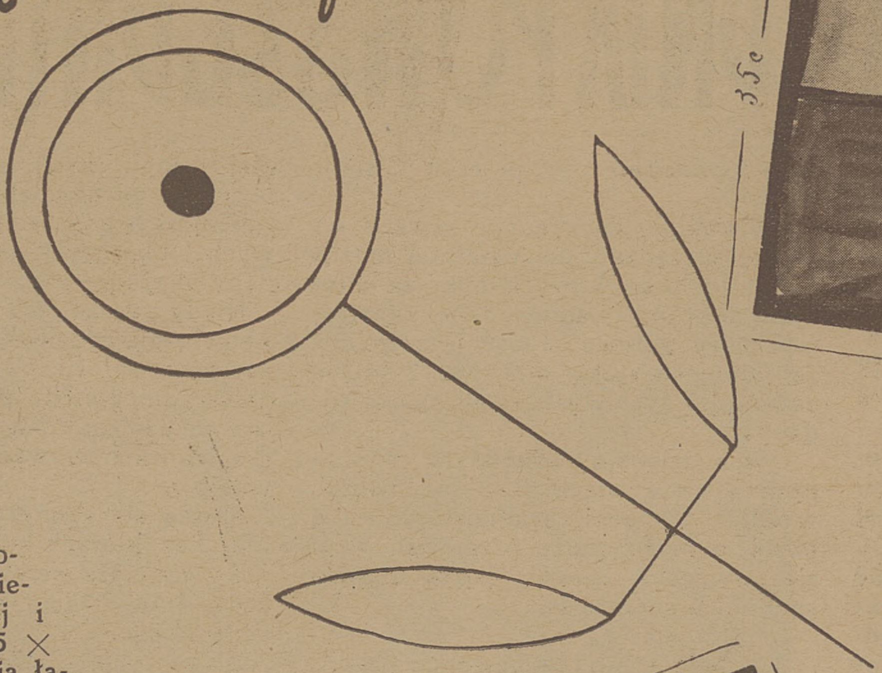
Kwiat robimy z czarnego aksamitu i białej piki. Materjał przed wycięciem płatków podklejamy sztywnym muślinem; zapobiega to strzępieniu się brzegów. Następnie wycinamy trzy podłużne płatki czarne i jeden szeroki a z białej piki jeden szeroki.

(Dokończenie opisu na Str. 23).

3.

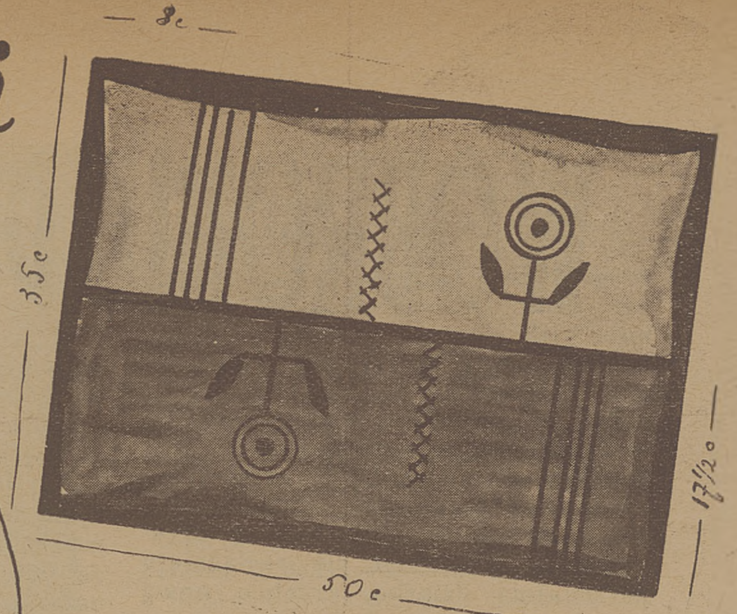


Serwetki i poduszki

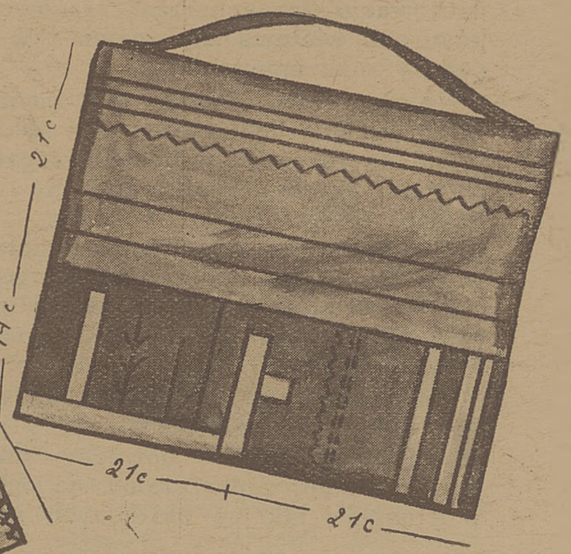


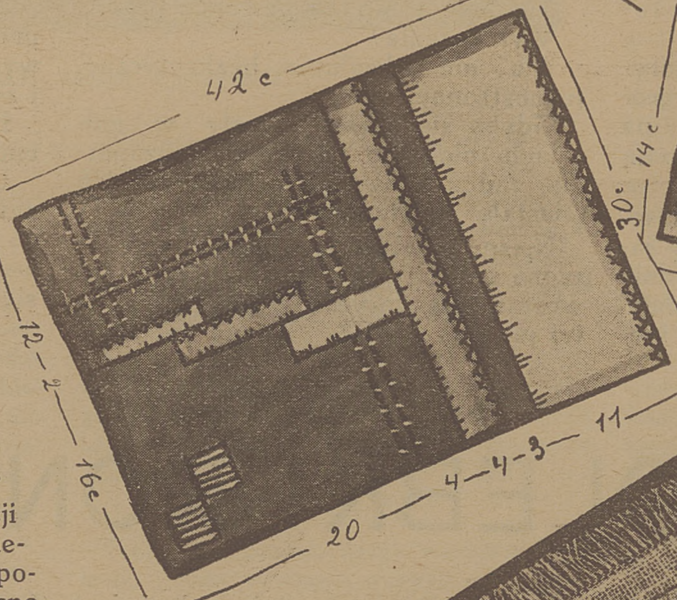
Zawsze miłym podarkiem gwiazdkowym będzie poduszka, a te które podajemy obok są łatwe i prędkie do zrobienia.

1. Poduszka zrobiona z flory w dwóch cieniach np. piaskowej i bronzowej wymiar 35 × 50 cm. Ozdabiamy ją łatwemi ściegami wyszytemi wełną w ładnie dobranych kolorach. Wzór gałązki podajemy obok.

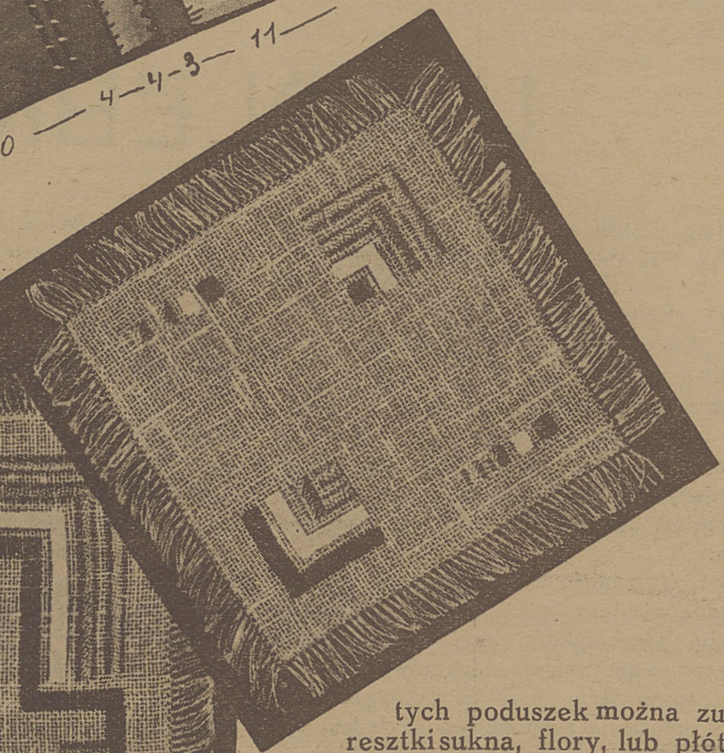


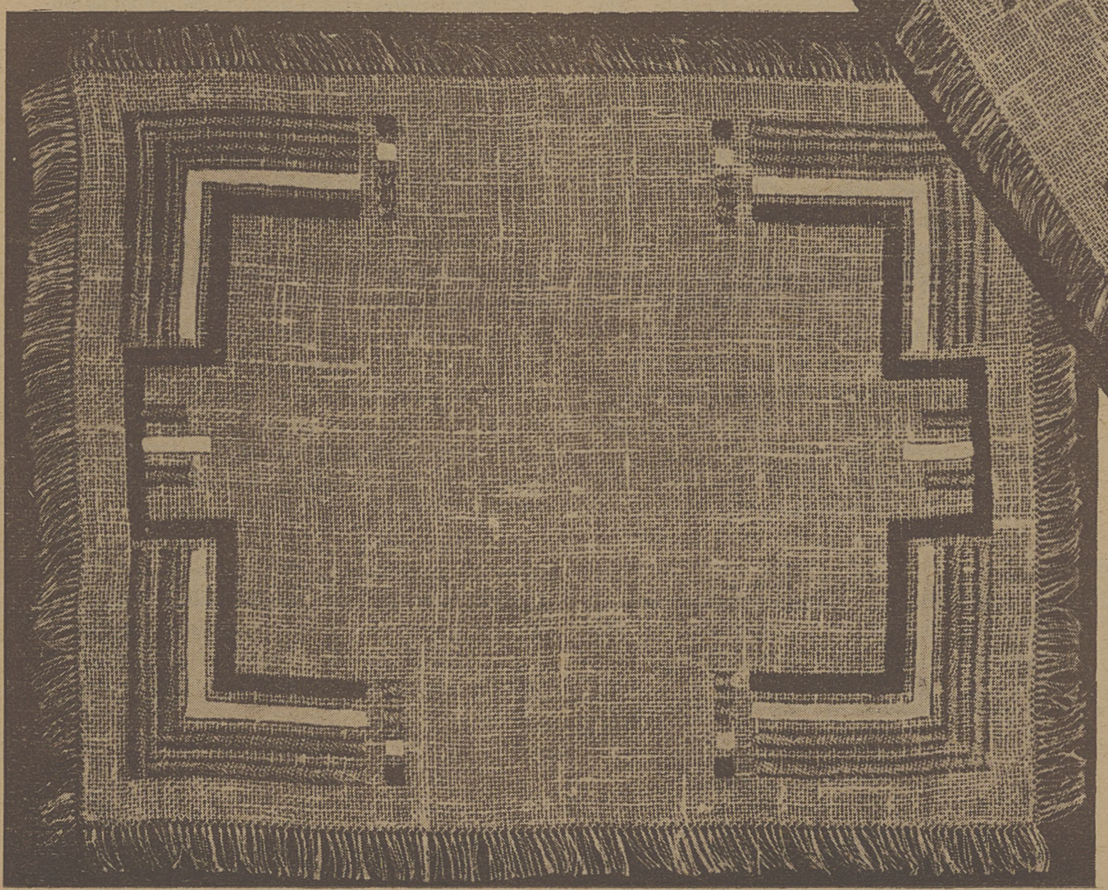
2. Poduszka o wymiarze 40 × 30 cm. z rypsu ciemno-zielonego i piaskowego — zeszyta ściegami ozdobnemi i naszywana wstążką rypsową w cieniach zielonych i piaskowych. Kwadraciki w rogu haftowane całą nitką mouline, a wyszycie zrobione z grubej nitki coton perle, przyszytej innym kolorem bawełny poprzecznemi ściegami. Wstążki naszyte ściegami ozdobnemi.





3. Poduszka do podróży z imitacji zamszu lub z flory, z rączką z tego samego materjału. Kolor ciemno-fiołkowy i popielaty. Paski aplikowane z flory jasnopopielatej. Ściegi ozdobne wyszyte wełną ciemno-fiołkową i popielatą. Na każdą z tych poduszek można zużyć resztki sukna, flory, lub płótna, dobierając dowolnie kolory.





Serwetki, też bardzo łatwe do wykonania, robimy z płótna kolorowego lub szarego. Cienką bawełną coton perle w kilku cieniach lub odmiennych kolorach, wyszywamy atłaskiem proste wałeczki i kwadratowe kropki, poszywając jednakową ilość nitek płótna, aby były równe. Taka serwetka na tackę i dwie, lub kilka odpowiednich małych serweteczek będą ślicznym i praktycznym podarunkiem.

Brzeg serwetki obrabiamy jak mereżkę i przycinamy równo frendzelkę.

W OBRONIE DNIA POWSZEDNIEGO

OSZCZĘDZAMY.

Nie z dobrej i nieprzymuszonej woli, nie z przekonania, nie z wewnętrznego nakazu, ale ze smutnej, narzuconej nam przez „konjunkturę" konieczności, bo nawet ten czyj przysłowiowy „pas", był już zaciągnięty na ostatnią dziurkę, przebija nowe i zaciąga go coraz ciaśniej.

Z chwilą ogłoszenia ustawy o opodatkowaniu licznych rzesz pracowników, nad wieloma rodzinami zawisł ponury znak zapytania:

Na czem jeszcze można oszczędzić?

Pierwszy odruch świadomości wskazywał na rozpaczliwość tego zagadnienia, a potem zaczęły napływać refleksje.

Może jeszcze z tej, albo z tej rubryki da się obciąć jakieś skromne grosze, które złożą się na złotówki, na dziesiątki złotówek, co wyrównają budżetową lukę?

Szukamy tych cudownych sposobów dokoła siebie. Rozpatrujemy jadłospisy; niezbędne potrzeby dnia powszedniego; zapuszczamy się dalej w dżunglę i tak już okrojonych nieprawdopodobnie — potrzeb osobistych.

My kobiety zaczynamy zawsze od siebie, szczędząc do ostatniej możliwości tych, za których byt, za których dobrobyt odpowiadamy. Jesteśmy zgóry gotowe złożyć jeszcze coś ze siebie na stosie ofiarnym byle nie uszczuplić życiowych racyj naszej rodzinie.

Coś z dziedziny osobistych wyrzeczeń, jeszcze więcej zapobiegliwości, wysiłku, kobiecej zaradności co cuda czyni, a może, może przeciwstawimy się zwycięsko nowej, jakże bardzo smutnej konieczności.

Samozaparcie?

Tak, ale tylko do pewnych granic.

Wyrzeczenie?

Ale nie absolutne, bezkrytyczne, jednostronne.

Gdyby się nawet poczęły w najszlachetniejszym odruchu samozaparcia, żadna z nas nie podźwignie ich „nastałe" z uśmiechem.

Niesprawiedliwość, nawet wymierzona własną ręką, musi zatopić powrotną falą goryczy radość życia. A tej musimy bronić. Bronić do ostatniej kropli krwi, bo z chwilą kiedy wygaśnie w nas jej ostatnia iskierka zmienimy się z jednostek wartościowych i twórczych w zakutych w kajdany skazańców.

Nigdy może, tak jak w tej chwili obowiązek rodzinnej solidarności nie zarysowywał się na horyzoncie dnia powszedniego. Nie powinno być miejsca na egoizm. Nie wolno kosztem drugich zachowywać dla siebie przywilejów.

Muszą się skończyć *przyzwyczajenia*, bez których ktoś w rodzinie, jakoby *nie może się obejść*, jeżeli za ich cenę drugi będzie się *obchodził bez wszystkiego*.

Z naszych „chudych" budżetów musimy we wspólnem porozumieniu wydzielić sprawiedliwe racje: tobie i sobie.

Baczmy pilnie, aby nie tuczyć się cudzą krzywdą.

Ustalmy wspólnie, co któremu z nas jest do życia, do zachowania jego radości niezbędnie potrzebne. Nawet okruchami możliwości podzielmy się sprawiedliwie.

Wanda Dobrzańska.

U KOLEBKI RONDLA

Ludzie dorośli są jak dzieci — jednemu dziecku wystarczy do zabawki lalka, zwierzak, jakaś zabawka mechaniczna, — inne dopóty około każdej zabawki majstruje, chcąc dokładnie zbadać mechanizm, aż ją zepsuje.

Niektórym dorosłym wystarcza, że posiadają jakiś przedmiot czy to zbytku, czy pierwszej potrzeby, uprzyjemniający lub ułatwiający im życie, innych znów predewszystkiem interesuje proces jego powstawania.

Do tych drugich, niestety, należę.

Mówię niestety, gdyż badanie początków nietylko wszechrzeczy, lecz i najzwyczajniejszych martwych przedmiotów, codziennych towarzyszy naszego bytowania, jest nieraz połączone z ogromnym nakładem trudu, niewygód i, tak cennego czasu.

Kiedy pani Ludwika Bormanowa, redaktorka „Pani Domu", zapytała czybym chciała zwiedzić fabrykę narzędzi gospodarczych w Modrzejowie, nietylko bez zastanowienia, lecz z prawdziwym entuzjazmem zawołałam: „Tak, naturalnie tak!"

Nie zdawałam sobie sprawy, że ten Modrzejów leży jak w bajce: „za siedmioma rzekami, za siedmioma górami".

I chociaż wycieczka była połączona z szalonem zmęczeniem, nie żałowałam, ani straconego czasu, ani fatygi — bo widziałam bajkę, cudną bajkę, w której genjusz ludzki i praca ludzka ujarzmia twarde żelazo, jeszcze twardszą stal i inne metale i przerabia niekształtne ich bryły w różne, niezbędne w życiu kulturalnego człowieka narzędzia i przedmioty.

O świcie, ponurego dnia listopadowego wyruszyłyśmy wygodnym autokarem „polskich linji samochodowych". Były pomiędzy nami przedstawicielki: Instytutu Gospodarstwa Domowego, Seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa Domowego, Redakcji Pani Domu i Związku Pań Domu, — towarzystwo dobrane pod względem żądzy pchnięcia na nowe tory prac domowych kobiet, udoskonalenia ich, ułatwienia, zracjonalizowania. Świt wolno przechodził w dzień, mgły opadały, zabłysło słońce, zrobił się jeden więcej piękny dzień późnojesienny, jakiemi tak szczodrze natura nas darzy w tym roku.

W szybkim pędzie mijamy wsie, osiedla i miasteczka, wolniej przejeżdżamy miasta duże: Tomaszów Mazowiecki, Piotrków Trybunalski, Częstochowę. Nakoniec po siedmiu godzinach podróży, widzimy cel naszej podróży — na horyzoncie ukazują się kominy „Światowita", jednej z fabryk koncernu Modrzejowa, tej właśnie, do której podążamy.

Z prawdziwie staropolską gościnnością gospodarze zapraszają nas na obiad, abyśmy nabrały sił do długiej wędrówki po budynkach i halach fabrycznych.

W czasie smacznego posiłku, pan Landau dyrektor Światowita, opowiada nam, że fabryka mimo ciężkich, kryzysowych czasów, idzie doskonale, pracuje na trzy zmiany, żadnych redukcyj ani robotnika, ani personelu technicznego i administracyjnego nie przewiduje, zbyt wyrobów ma nietylko zapewniony, lecz nawet powiększa produkcję, otwierając coraz to nowe działy.

Interesujemy się przedewszystkiem pracą kobiet.

Stanowią one prawie dwie trzecie pracowników fizycznych i czwartą część personelu administracyjnego.

I jedne i drugie są wysoce cenione jako świetne, sumienne pracownice. Niestety jednak, jak wszędzie na świecie, zarobki ich wynoszą dwie trzecie zarobków męskich, już nietylko za taką samą, lecz nawet za lepszą pracę, — gdyż tam, gdzie chodzi o



Fragment składu naczyń kuchennych.

ścisłość, dokładność, precyzyjność, pracuje kobieta.

Jedynem ustępstwem na rzecz „słabszej płci", jest to, że kobiety nie pracują w zmianie nocnej.

Zaczynamy zwiedzanie.

Więc naprzód skład modeli, gdzie oczy gospodyń wprost się rozbiegają na widok setek naczyń i przyrządów, pomiędzy któremi jest wiele dotąd wyrabianych tylko zagranicą, jak naprzykład maszynka do krajania chleba, lub inna do zagniatania ciasta.

Oczywiście, te narzędzia krajowego wyrobu są o dwie trzecie tańsze od zagranicznych i mają zastosowanie nietylko w pensjonatach i szkołach, lecz i w prywatnych gospodarstwach. Dalej ogromna hala, z szeregiem małych warsztatów, na których kobiety w ubraniach prostych wieśniaczek z niezwykłą wprawą i dokładnością wybijają, wycinają, wyginają, dziurkują rozmaite drobne części do narzędzi. Z podziwem przyglądamy się błyskawicznym ruchom tych grubych, spracowanych rąk.

Zwiedzamy dalej, salę za salą, dział wyrobów z żelaznej blachy i nadającą im ładny wygląd cynkownię i pracownię lamp-latarni używanych w stajniach i oborach.

Dział wyrobu części metalowych do rowerów. W lakierni oglądamy, jak młoda dziewczyna, bez żadnych przyrządów pomocniczych linjuje emalją błotniki rowerowe, nie myląc się ani o milimetr.

Najciekawszym dla współczesnej gospodyni jest dział naczyń aluminjowych, więc oglądamy tam tłoszenie rondla z kawała brzydkiej, szarej blachy, obcinanie go, polewanie wewnętrzne i zewnętrzne, przebijanie dziurek na uchwyty, umocowywanie tych uchwytów nitami.

Niestrudzony dyrektor i towarzyszący nam inżynierowie, obszernie i dokładnie tłomaczą znaczenie każdej czynności.

Widzimy jak szary, chropawy rondel, zanurzony kolejno w mocnym ługu (60% kaustycznej sody) wypłókany w wodzie, następnie znów zanurzony w kwasie azotowym i znów wypłókany, nabiera wyglądu matowego srebra, tak cenionego przez lubiące ładny wygląd kuchni, gospodynie.

Obliczałam pocichu czas potrzebny na wszystkie kolejne czynności, od chwili gdy zaczęto tłoczyć grubą blachę, do chwili kiedy do rondla przymocowano połyskujące uchwyty, zużyto nie więcej niż 20 minut.

Cud techniki!

Trzeba już wracać, późny wieczór, dobre matki i żony telefonują nagwałt, aby uspokoić rodziny, a tu gościnni gospodarze zastawiają jeszcze podwieczorek-kolację.

I znów jesteśmy w autokarze, tylko złoty słoneczny dzień, zastąpiła czarna, dżdżysta noc. Nasza „Barnum" wycieczkowa, pani Bormanowa i stale dotrzymujący nam towarzystwa przedstawiciel fabryki, pan Koczorowski, starają się utrzymać humory. Pierwsza wciąż coś śpiewa i opowiada, drugi przesuwa się z jednego końca wozu na drugi, starając się odpowiadać na liczne uzupełniające pytania. Nieszczęsna ofiara!

Mijamy setki wozów, dążących na rynek stołeczny, szofer dokonywa cudów zręczności, mijając te wehikuły ze śpiącymi na nich właścicielami.

Nakoniec, dobrze po czwartej jesteśmy w Warszawie.

Powrotna podróż trwała dziewięć godzin.

Elżbieta Kiewnarska.

Trzykrotki i paprocie bostońskie

Trzykrotka — znana pod łacińską nazwą tradescantia, rośnie szybko i bujnie. Nie wymaga specjalnych względów. Byle miała dostateczną ilość wody i światła radzi już sobie sama doskonale. Lubi przytem obfite zraszanie, a rozrasta się najlepiej jeżeli wstawimy doniczkę do ampułki lub ustawimy ją tak, aby długie, zwisające pędy nie były narażone na uszkodzenie.

Aby wyhodować piękny okaz, wystarczy posadzić w doniczce średniej wielkości 5 do 6 pędów wierzchołkowych, rozmieszczając jeden pośrodku doniczki, a resztę dokoła jej brzegów. Doniczkę ustawiamy na oknie, zraszamy ziemię umiarkowanie, zwiększając dawkę wody w miarę zakorzeniania się sadzonek. Najsilniej i najszybciej ukorzeniają się trzykrotki sadzonkowane na wiosnę. Dochodzą one już w połowie lata do pokaźnych rozmiarów.

Trzykrotki o liściach zielonych, znane pod nazwą Tradescantia geniculata, odznaczają się w przeciwieństwie do innych, delikatniejszych odmian wybitną odpornością i siłą wegetacyjną. Natomiast Tradescantia zebrina o liściach pręgowanych szaro-srebrnej barwy i wiśniowem zabarwieniu spodów jest nieco kapryśniejsza od poprzedniej.

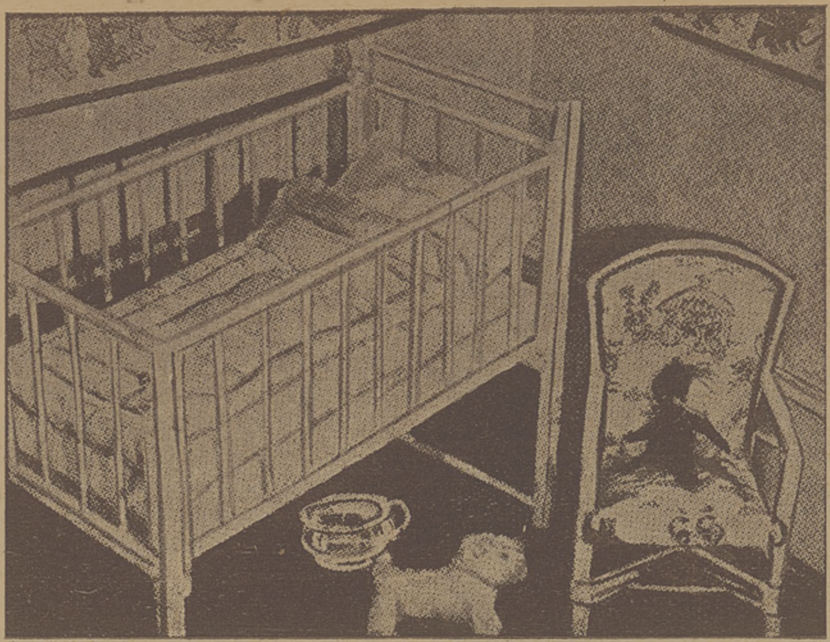
Paprocie, jako dzieci lasu, przyzwyczajone do czystego i wilgotnego powietrza, niełatwo wegetują w pokojach mieszkalnych. Możnaby powiedzieć śmiało, że należy do tych roślin, które w hodowli pokojowej zawodzą Nephrolepis bostoniensis (paproć bostońska), która jakby naprzekór wszelkim teorjom, nietylko wytrzymuje pokojową atmosferę, ale rozrasta się w niej bujnie, szybko i wspaniale.

Mało wymagająca na miejsce, w którem ją umieścimy woli półcień od pełnej wystawy słonecznej. Dostosowuje się idealnie do warunków miejscowych i tworzy liść za liściem, dochodząc niejednokrotnie do metrowej wysokości.

Paproć bostońska odznacza się właściwością wytwarzania napowietrznych korzeni, dlatego też rozrasta się idealnie w doniczkach o dużej powierzchni, w których korzenie napowietrzne łatwo znajdują swobodne miejsce, a dostawszy się raz do ziemi wydają pączki i tworzą w krótkim czasie nowe pędy. Paproć bostońska lubi ziemię inspektową, pomieszaną z wrzosową, wymaga też obfitego i systematycznego polewania, które powinno dostarczyć roślinie stałej wilgoci. Dobrze jest przykryć ziemię w doniczce warstwą mchu, który zapobiega zbyt szybkiemu wysychaniu powierzchni przez co roślina wydaje łatwiej i szybciej silne korzenie napowierzne i rozrasta się bujniej.

Pamiętajmy o tem, że codzienne obfite zraszanie paproci jest koniecznym zabiegiem.

Paprocie rozmnaża się przez dzielenie krzaków przy wiosennem przesadzaniu. Po wyjęciu paproci z doniczki, należy spulchnić korzenie, przeprowadzając pomiędzy niemi cienko zastrugany patyczek.



URZĄDZENIE POKOJU DZIECINNEGO

Starannie i z miłością przystępuje młoda matka do urządzenia pokoju dziecinnego. Oczekuje ona przyjścia na świat swego dziecka z taką samą radością, z jaką babka jej i prababka spodziewały się narodzin swoich dzieci. W uczuciach kobiet nic się nie zmieniło, ale czas zdziałał swoje: wkroczył z reformami do dziecinnego pokoju.

To, czego nasze matki przestrzegały tak skrupulatnie — wywołuje często tylko pobłażliwy uśmiech na ustach kobiet współczesnych. Np. kwestja mleka, — gotowanego długo dla zabicia wszelkich pierwiastków wrogich zdrowiu niemowlęcia. Dziś podajemy dziecku, już w pierwszych tygodniach życia — soki owocowe, jarzynowe i papki.

Także łóżeczko dziecka, sposób układania go i okrywania — uległy zmianie. Znikły bez śladu grube, puchowe „beciki“ i powijaki, krępujące ciało noworodka. „Przewiewność“ i swoboda ruchów — to zasadnicze wymagania dziecięcej higjeny. Gumowe podkłady na materacyku nie zyskują również aprobaty. Lepsze są sienniczki wypełnione watą drzewną, łatwo przepuszczającą wilgoć. Sienniczek taki, grubości 10 cm., sporządzi sobie łatwo każda młoda matka własnoręcznie. Przez zeszyty powierzchownie jeden bok materacyka, można za każdym razem, gdy dziecko zmoczy posłanie, usunąć drzewną watę, przeprać lekką poszwę, wysuszyć i napełnić ponownie.

Gumowa wanienka dziecka nie zajmie wiele miejsca w mieszkaniu rodziców. Wstawia się ją w dużą wannę, w łazience, zawiesza pod rurę dopływową, przy pomocy specjalnych, prostych urządzeń. Po użyciu, wylewa się z niej wodę, przy pomocy rury odpływowej, składa się ją i stawia w kącie, gdzie nikomu nie zawadza.

Także i dziecinne naczynie nocne z grubeko szkła, jest cennem ułatwianiem w zabiegach dokoła dziecka. Naczynie to, z szerokiemi, wywiniętemi brzegami, wygodne jest w użyciu. Matka nie potrzebuje podnosić dziecka dla sprawdzenia, czy załatwiło już konieczną potrzebę, szklane ściany są bowiem przezroczyste.

Pomiędzy wielu innemi udogodnieniami, wymienić należy i talerz termofor, który umożliwia utrzymanie potrawy w cieple, nawet o ile dziecko je bardzo wolno.

W.

ODŻYWIANIE DZIECI W PIERWSZEM PÓŁROCZU

Idealnem odżywieniem dla niemowląt jest pokarm kobiecy. O tem winny matki pamiętać, jako o najważniejszej zasadzie w pierwszych miesiącach życia dziecka. Nic nie zastąpi dziecku pokarmu matczynego. Nawet najlepiej zastosowane do potrzeb dziecka pod kierunkiem lekarza mieszanki z mleka krowiego są tylko surogatem, do którego niekiedy z konieczności musimy się uciekać.

Zalety pokarmu matczynego są liczne i wszechstronne. Przedewszystkiem jest to żywa substancja, która w stanie niezmienionym dostaje się do organizmu dziecka. Substancja ta jest gatunkowo taka sama, jak tkanki dziecka, tyczy się to przedewszystkiem białka zawartego w mleku; organizm dziecka nie zużywa więc energji na przerobienie białka obcogatunkowego na własną, jak to ma miejsce przy karmieniu mlekiem krowiem. W mleku kobiecem zawarte są wszystkie potrzebne do wzrostu i prawidłowego rozwoju składniki, jak białko, tłuszcze, węglowodany, sole mineralne, woda i t. zw. substancje dodatkowe, czyli witaminy. Przytem skład procentowy poszczególnych składników idealnie odpowiada potrzebom dziecka. Jeszcze jeden bardzo ważny czynnik dostaje się z pokarmem matki do organizmu dziecka, mianowicie — ciała odpornościowe przeciw chorobom zakaźnym. Wiemy, że przebycie niektórych chorób zakaźnych pozostawia w organiźmie ludzkim trwałą odporność na te choroby. Ciała odpornościowe krążą w sokach ustroju, przedostają się do pokarmu kobiecego i z nim do organizmu dziecka. Dzieci karmione sztucznie, a więc nie otrzymujące tych ciał odpornościowych są znacznie mniej odporne na wszelkie choroby zakaźne, przeciwnie, wiemy, że dzieci karmione piersią, bardzo rzadko zapadają na choroby zakaźne w pierwszych miesiącach życia.

Dzieci, karmione sztucznie, t. zn. mlekiem krowiem, są narażone na cały szereg innych zaburzeń. Mleko krowie nie zawsze da się przechować w stanie świeżym, zwłaszcza latem, powodując często niestrawność, biegunki, a nawet ciężkie zatrucie pokarmowe niemowląt. Tych wszystkich niebezpieczeństw unikamy, dając dziecku pokarm kobiety. Zdarza się, że i dzieci karmione piersią zapadają na niestrawność, czy to wskutek przekarmienia, czy innych przyczyn. Niestrawność ta jednak prawie nigdy nie przybiera charakteru poważnego i łatwo daje się opanować.



Omówimy pokrótce zasady karmienia piersią. Oczywiście, w niektórych wypadkach wymagane są pewne odchylenia od niżej podanego schematu.

Przystawiamy dziecko do piersi poraz pierwszy w 12 godzin po urodzeniu. Pierwsze karmienia to często duży wysiłek zarówno dla matki, jak i dla dziecka i wymagają one znacznej cierpliwości i opanowania matki i osoby pielęgnującej. Nie należy się jednak zrażać trudnościami i cierpliwie uczyć dziecko ssania, jest to bowiem decydujące dla późniejszych losów dziecka. Po pierwszem karmieniu przystawiamy dziecko regularnie co 2 godziny, a gdy nauczy się ssać — co 3 godziny. Karmimy z początku 7 razy na dobę, starając się jednak przejść szybko do 6 karmień na dobę. Wtedy 2 ostatnie razy podajemy pierś co 3 i pół godziny, otrzymując w ten sposób 7 godzin przerwy nocnej, która jest konieczna zarówno dla odpoczynku dziecka, jak i dobrego snu matki. Regularne przerwy w karmieniu są konieczne, powodują one u matki lepsze gromadzenie się pokarmu, a u dziecka regularne trawienie, odpoczynek dla narządów trawienia i konieczne poczucie głodu u niemowlęcia.

Na początku IV-go miesiąca życia zaczynamy podawać niemowlęciu surowe soki, czy to sok wyciśnięty z przetartej marchewki, czy też sok z cytryny lub pomarańczy z dodatkiem cukru. Soki te są bogate w witaminy przeciwdziałające chorobie angielskiej, czyli krzywicy. Rozpoczynamy od jednej łyżeczki dziennie, dochodząc w ciągu paru tygodni od 5 — 6 łyżeczek dziennie. W V-ym miesiącu zaczynamy podawać skrobane jabłko. Nie zmieniamy tej djety aż do końca VI miesiąca życia.

Przy braku pokarmu lub niemożności karmienia, należy zwrócić się do lekarza specjalisty w celu zaordynowania sztucznej mieszanki dostosowanej odpowiednio do wieku, wagi i konstytucji dziecka.

O odżywianiu niemowląt w II półroczu napiszemy w następnym artykule.

Dr. F. K.

PRZYPOMINAMY

Naszą Pierwszą Ankietę ogłoszoną w Nr. 2 Tygodnika Kobiety

Na temat:

Jaka jest najżywotniejsza troska Pani Domu i jak na nią zaradzić należy

Ankieta została ogłoszona z inicjatywy OGÓLNEJ PORADNI GOSPODARCZEJ, która pragnie tą drogą wejść w kontakt z jak najszerszym kręgiem kobiet, poznać ich potrzeby, dopomóc do racjonalnego zorganizowania życia domowego

Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem Redakcji Tygodnika Kobiety — Warszawa, ul. Okólnik 11a, dołączając zapieczętowaną kopertę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem autorki, lub autora do dnia 1 stycznia 1936 roku. Od szczęśliwego wyjścia z kręgu trosk zarysowujących się na powierzchni życia domowego i rodzinnego zależy jego spokój, dobrobyt, równowaga. Dom i rodzina to wspólne królestwo kobiety i mężczyzny. Dlatego też liczymy w naszej ankiecie i na współudział piór męskich. Mężczyzna — widz i krytyk, stojący pozornie tylko na uboczu jest w tym wypadku na równi z nami zainteresowany. Niech i on się wypowie. Czekamy.

Poradnia Gospodarcza przeznaczyła dla osób, których prace będą wyróżnione następujące nagrody:

1. **Materjał na suknię wizytową z f-my Goldkopf, Bielańska 19.**
2. **Organdynowy haftowany garnitur do kawy na 6 osób z firmy Linda, Wierzbowa 6.**
3. **2 żelazka gazowe z podstawką — Gazownia Miejska.**
4. **Komplet do herbaty z ogniotrwałego szkła jenajskiego.**
5. **Kuchenka gazowa dwupalnikowa z firmy Serkowski.**
6. **Komplet kosmetyków Antiba.**
7. **Roczna prenumerata „Tygodnika Kobiety".**
8. **Lampa-abażur z firmy Coqui, Wierzbowa 6.**
9. **Broszka — z firmy Bézé, Marszałkowska 151.**
10. **Figurka fabryki Pacyków — z firmy Łakomski, Bracka 20.**
11. **Bombonierka z czekoladkami — z firmy E. Wedel.**
12. **Grzałka elektryczna Ro-Patent.**
13. **Serwetka haftowana — Ukraińska Sztuka Ludowa, Marszałkowska 97-a m. 2.**
14. **NAGRODA DLA PANA: Garnitur, składający się z ciepłego szala i krawata z firmy Chojnacki, Marszałkowska 109.**

Nagrody będą wystawione w gablotkach Wzorowni Ogólnej Poradni Gospodarczej, ul. Św.-Krzyska 17 m. 3.
W skład jury konkursowego wchodzą, Panie: **Elżbieta Kiewnarska, Ellen Bychowska, Marja Ankiewiczowa, Wanda Dobrzańska i S. Borowska.**



Jadłospis tygodniowy skromny

NIEDZIELA

Zupa pomidorowa w filiżankach — grzaneczki.
Mostek cielęcy nadziewany — kartofle pieczone przy mięsie.
Sałata z czerwonej kapusty.
Biszkopt z powidłami.

PONIEDZIAŁEK

Zupa purée z fasoli na smaku jarzynowym.
Makaron zapiekany z grzybami.
Ogórki z konserwy.
Jabłka pieczone.

WTOREK

Barszcz burakowy zabielany (na smaku jarzynowym).
Kiszka kaszana — kartofle.
Sałata z kiszonej kapusty.
Ciasteczka opatrznościowe (przepis w Nr. 1 Tygodnika Kobiety).
Herbata.

ŚRODA

Kapuśniak — kartofle.
Nóżki cielęce osmażane w cieście — ostry sos korniszonowy.
Kaszka na sypko.
Jabłka.

CZWARTEK

Rosół cielęcy z makaronem.
Krokiety z gotowanej cielęciny (z rosołu).
Marchewka.
Borówki.



PIĄTEK

Zupa grzybowa z łazankami.
Dorsz z wody — sos chrzanowy.
Kartofle całe z masłem i natką od pietruszki.
Kompot z suszonych śliwek, albo żórawin.

SOBOTA

Kartoflanka na baraninie.
Potrawka barania w sosie pomidorowym—
Kluseczki kładzione.
Galaretka z soku owocowego.

Przepisy kulinarne

(Proporcje na 4 osoby).

Makaron zapiekany z grzybami. Proporcja: ¼ kg. makaronu włoskiego, 1 cebula, 5 dk. grzybów suszonych, 8 dk. masła, trochę suchego sera szwajcarskiego do utarcia.

Połamać makaron na drobne kawałki, rzucić na wrzącą wodę, zagotować dwukrotnie, odcedzić. Przelać zimną wodą, znów rzucić na obfity wrzątek i ugotować na miękko, soląc do smaku. Ugotowany makaron odcedzić, przelać zimną wodą, osączyć. Grzybki ugotować w krótkim smaku, pokrajać drobniutko. Cebulę posiekać, udusić w maśle. Wyjąć makaron na miskę, dodać grzybki, masło z cebulą. Wymieszać. Posmarować ogniotrwały półmisek masłem, ułożyć na nim makaron w zręczny stos, oprószyć tartym serem, skropić masłem. Zapiec w piecyku na złoty kolor. Koszt zł. 1.30.

Krokiety z gotowanej cielęciny. Proporcja: ½ kg. cielęciny z kością, 2 bułki otarte ze skórki, 1 jajko, pół łyżki masła, sól, pieprz, 1 jajko, bułka tarta. Masło, albo szmalec do usmażenia. Wyjąć cielęcinę z rosołu, osączyć. Obrać z kości, odrzucić żyłki, skórki i chrząstki, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę.

Bułki obetrzeć ze skórki, pokrajać na części, namoczyć w mleku, albo w wodzie, odcisnąć. Utrzeć masło z jajkiem na pianę, dodawać stopniowo bułkę i ucierać aż do wytworzenia się gładkiej, pulchnej masy. Dodać mięso, wyrobić, wsypać soli i pieprzu do smaku. Formować zręczne krokiety w formie wałeczków, maczać je w rozbitem jajku, skrążyć w tartej bułeczce, smażyć na obfitym tłuszczu, rumieniąc na złoty kolor. Podać z marchewką, albo z kaszką na sypkę i ostrym sosem. Koszt około zł. 1.50.

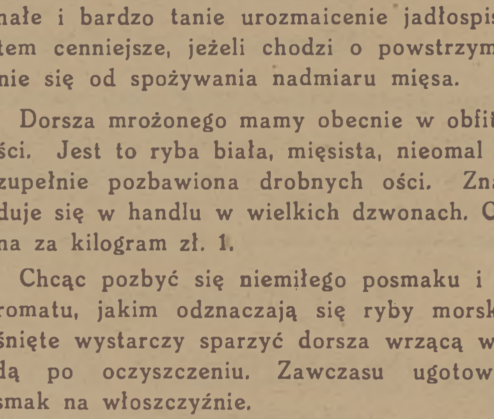
Dorsz z wody z sosem chrzanowym. Ryby morskie importowane z Gdyni zasługują sobie na uznanie coraz to szerszej publiczności. Kto umie je przyrządzić zyskuje doskonałe i bardzo tanie urozmaicenie jadłospisu, tem cenniejsze, jeżeli chodzi o powstrzymanie się od spożywania nadmiaru mięsa.

Dorsza mrożonego mamy obecnie w obfitości. Jest to ryba biała, mięsista, nieomal że zupełnie pozbawiona drobnych ości. Znajduje się w handlu w wielkich dzwonach. Cena za kilogram zł. 1.

Chcąc pozbyć się niemiłego posmaku i aromatu, jakim odznaczają się ryby morskie śnięte wystarczy sparzyć dorsza wrzącą wodą po oczyszczeniu. Zawczasu ugotować smak na włoszczyźnie.

Oczyszczoną i sparzoną rybę oddzielić od ości grzbietowej, posolić, skropić sokiem cytrynowym. Niech tak poleży godzinę

Ułożyć rybę w rondul, zalać niewielką ilością smaku, podgrzewać na wolnym ogniu do zagotowania, poczem gotować pod przykryciem, również na wolnym ogniu pół godziny. Wyjąć ze smaku, osączyć, ułożyć na ogniotrwałym półmisku wysmarowanym masłem,



zalać sosem chrzanowym, skropić masłem, oprószyć tartą bułeczką, wstawić do gorącego pieca i zrumienić powierzchu na złoty kolor.

Oddzielnie podać kartofelki przysmażane.

Sos chrzanowy. Utrzeć gruby korzeń chrzanu, oskrobany z wierzchniej skórki Lekko osolić, przykryć miseczką żeby nie stracił aromatu.

Łyżkę masła sklarować, dodać łyżkę mąki, raz zasmażyć, rozprowadzić słodkiem mlekiem. Zagotować mieszając. Dodać chrzan do sosu, zogotować. Doprawić do smaku solą, octem, cukrem. Dwa żółtka rozkłócić z kilkoma łyżkami młodej kwaśnej śmietany, dodać do chrzanu, wymieszać, zalać nim rybę.

Na cztery osoby wystarczy ¾ kg. dorsza. Koszt dorsza z sosem chrzanowym zł. 1.50.

Śledzie marynowane z jabłkami. Dowolną ilość śledzi mleczaków umyć czysto w zimnej wodzie, włożyć na miskę i zalać obficie wodą, do której dodaje się na 1 litr wody sody oczyszczanej na czubek noża. Po upływie 12 godzin wyjąć śledzie z wody, opłókać, osączyć, przeciąć skórkę na grzbiecie i brzuchu, zdjąć ją delikatnie, starając się nie uszkodzić ryby. Przepołowić śledzie zdejmując je z kości grzbietowej; odjąć łby i ogony. Ułożyć połówki śledzi na misce, zalać surowem, słodkiem mlekiem, moczyć 12 godzin. Po wyjęciu spłókać, osączyć.

Upiec 4 duże jabłka, licząc na 20 śledzi. Przefasować przez sito jabłka i mlecze wyjęte z ryb, dodać łyżkę musztardy, 4 łużki oliwy nicejskiej i niezbyt mocnego octu przegotowanego z korzeniami i wystudzonego. Gotując ocet dodać troszkę cukru dla złagodzenia ostrości.

Układać śledzie w słoju warstwami. Każdą warstwę przykryć krajaną sparzoną cebulą i kaparami, zalewać w czasie układania zaprawą. Słój owiązać pergaminem, wynieść do zimnej śpiżarni. Na drugi dzień są już dobre do jedzenia.

Dorsz w pomidorach z jarzynkami. Przygotować dorsza, jak wyżej. Obgotować w smaku, wyjąć, osączyć. Uszatkować drobniutko 3 marchewki, 2 pietruszki, 1 dużą cebulę cukrową, ¼ główki kapusty włoskiej. Dusić dodając łyżkę masła, trochę buljonu, listek bobkowy, pieprz i ziele angielskie

Obgotowanego dorsza podzielić na niewielkie kawałki. Włożyć do płaskiej ogniotrwałej rynki łyżkę masła, sklarować, położyć na niem kawałek ryby, polać konserwą pomidorową, przykryć jarzynkami. Dusić w piecu pod pokrywą pół godziny. Wydać na stół w rynce — oddzielnie kluseczki krajane, albo kartofelki z wody.

Biszkopt z powidłami. Proporcja: 4 jajka, 10 dk. cukru pudru, 6 dk. mąki kartoflanej sok z ¼ cytryny, trochę sproszkowanej wanilji. Powidła śliwkowe, młoda, wyborowa kwaśna śmietana, cukier puder.

Żółtka z pudrem utrzeć do białości, dodać sok cytrynowy, mąkę kartoflaną uciearć jeszcze kilka minut. Ubić tęgą pianę z pozostałych białek, lekko, domieszać. Wylać ciasto do małej tortowniczki wysmarowanej masłem i wyprószonej mąką. Piec w średnim piecu około pół godziny. Wyjąć biszkopt z formy zaraz po upieczeniu, wystudzić. Zimny przekrajać na dwa, albo trzy kręgi, przełożyć powidłami, posypać powierzchu cukrem pudrem z wanilją. Gęste, dobrze wysmażone powidła śliwkowe wymieszać z kilkoma łyżkami wyborowej młodej śmietany kwaśnej, dodając jej tyle, aby zanadto powideł nie rozrzedzić, powinny być tak gęste, jak krem śmietankowy. Ocukrować do smaku.

Koszt biszkopta: zł. 1.35.

Racuszki drożdżowe. Proporcaj: 40 dk. mąki pszennej, 3 dk. drożdży, letnie mleko, 2 żółtka, łyżka masła, łyżka cukru, szczypta soli, trochę rodzynków i osmażanej skórki pomarańczowej. Szmalec do usmażenia. Cukier puder z wanilją do posypania.

Rozprowadzić drożdże pół szklanką letniego mleka. Mąkę osiać, rozczynić drożdżami, postawić w cieple, żeby rozczyn dobrze podrósł. Wówczas dodawać stopniowo: żółtka, cukier, sól, masło i wyrabiać ciasto łyżką drewnianą. Na końcu wsypać rodzynki i skórkę pomarańczową.

Doskonale wyrobione ciasto postawić w cieple, a gdy wyrośnie brać łyżką niewielkie kawałki, kłaść na patelnię na obfity rozgrzany szmalec i smażyć na średnim ogniu na złoty kolor. Osączać z tłuszczu na bibule, składać na ogniotrwały półmisek. Trzymać w ciepłym piecyku do chwili wydania na stół. Wydając przekładać na porcelanowy półmisek i cukrować pudrem z wanilją. Do racuszków podaje się sok, albo konfitury. Skromne racuszki robić bez dodatku rodzynków i skórki pomarańczowej. Podawać tylko ocukrowane do herbaty.

Melba.

C. M. WEBER



KONCERT RADJOWY
W PIĄTEK 6. XII. O GODZ 12. 0

(Dokończenie ze str. 16-ej)

Układamy płatki jak na rysunku i zczepiamy je razem. Z czterech różnej długości drucików robimy pręciki. Druciki zaginamy na końcach i owijamy cienkim jedwabiem. Kwiat przytwierdzamy do grubszego drucika owiniętego srebrną nicią. Płatki czarne nakrapiamy białą farbą (temperę w tubkach lub gwaszem). Kwiat jest gotowy — wygląda jak storczyk fantastyczny. Możemy takich kwiatów zrobić cały pęk do sukni wieczorowej lub jeden do wizytowej.

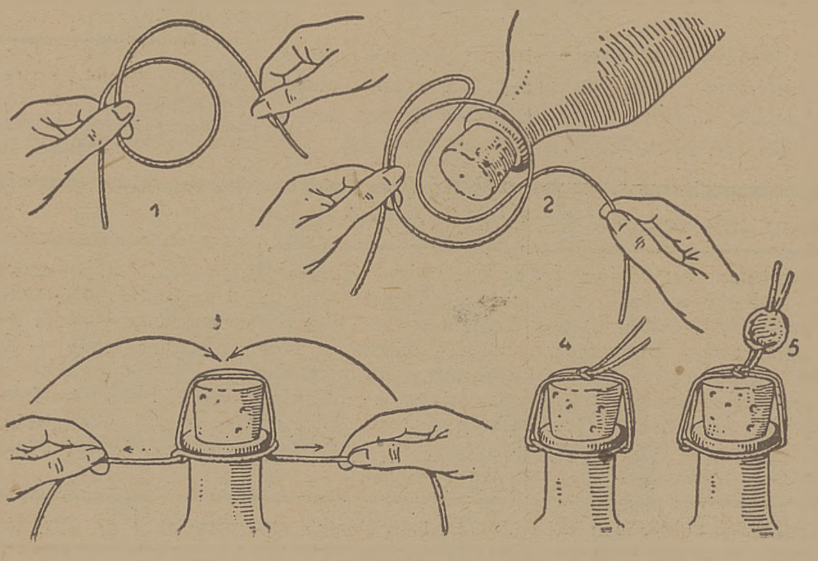
Ewa.

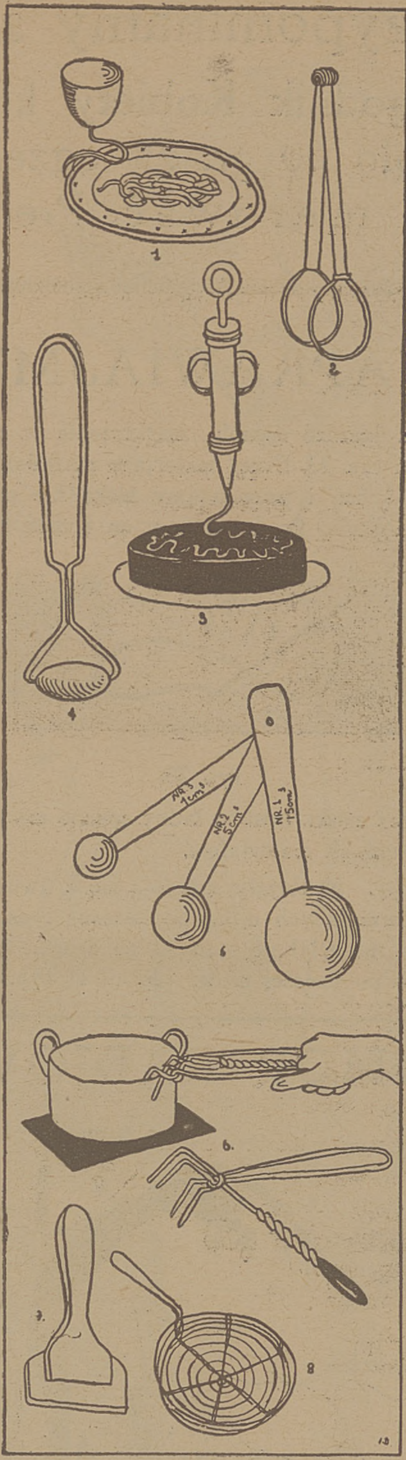
PRAKTYCZNE WIĄZANIE KORKÓW.

Rysunki podane obok uczą, jak obwiązać korek drutem, aby butelka była mocno i pewnie zakorkowana.

Drut skręcamy podług rys. 1 i 2 i założywszy go na korek ściągamy (rys. 3).

Końce zaciągamy na wierzchu korka (rys. 4) i w razie potrzeby plombujemy (rys. 5)





PRAKTYCZNE WYNALAZKI.

1. Praktyczna nowość — to kubek do jajka, dający się przytwierdzić do talerza. Zwłaszcza dla dzieci jest bardzo praktyczny, gdyż ułatwia jednocześnie spożywanie jajka i innej potrawy, jak np. jarzyny.

2. Szczypce te pozwalają wyjąć jajko z gorącej wody bez obawy stłuczenia go.

3. Przyrząd do lukrowania, ułatwia przybieranie tortów i ciast.

4. Prosty ten wałek, użyteczny zwłaszcza w kuchni wegeterjańskiej, służy do rozcierania jarzyn.

5. Miarki zastępujące wagę do kasz, mąki i t. p.

6. Szczypce do garnków, chroniące przed poparzeniem przy zdejmowaniu garnków z ognia.

7. Szczoteczka do wiórowania posadzek.

8. Koszyczek do odsączania sałaty, lub umytych jarzyn.

Przypominamy że czas odnowić prenumeratę na grudzień

Tygodnik Kobiety kosztuje w sprzedaży 50 gr., w prenumeracie wypada około 40 gr. za egzemplarz. W imię oszczędności należy go zaprenumerować. Prenumerata miesięczna 1 zł. 75 gr., kwartalna 5 zł.

NAPRAWIAJMY

Jest jeszcze sposób marszczenia w ząbki, jak na rys. 23. Brzeg materjału zakładamy na 1 — 2 cm. i przeciągamy nitkę nie prosto, a w półkole. Po ściągnięciu na brzegu otrzy-



rys. 23.

mujemy ząbki. Jest to ładny sposób marszczenia cienkich materjałów.

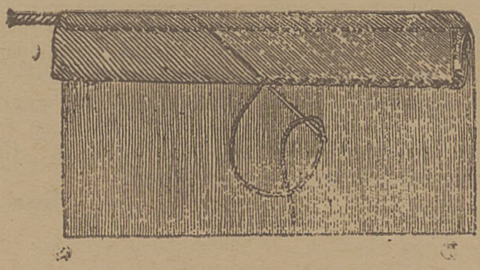
Skosy. Materjały składają się z dwuch nitek, formujących nitkę poprzeczną i osnowę; krająć materjał po jednej i po drugiej, krajemy go po prostej nitce. Jeżeli złożymy materjał na róg i przetniemy go w środku, otrzymamy skos, z którego krajemy paski potrzebnej szerokości. Skosy zeszywamy tak, jak to widzimy na rys. 24, uważając, aby rogi nie mijały się, ale dokładnie pasowały ze sobą. Jeżeli oba paski skośne mają brzegi, można łączyć je okrętką, inaczej zeszywa się



rys. 24.

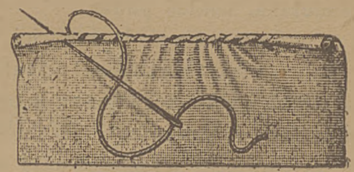
je drobniutko przed igłą i rozprasowywa.

Wypustką zowiemy sznurek, wszyty brzegiem w skosik z materjału, który przyszywamy przed igłą, sznurkiem u dołu, poczem odwracamy wypustkę, zakładamy dół skosu i podwrębiamy go drobnemi ściegami (rys. 25).



rys. 25.

Wałeczkiem skręconym obrębia się lekkie materjały, zwija ich brzeg trzymając robotę między wielkim a wskazującym palcem lewej ręki, jak do zwykłego obrębiania (rys. 28). zaledwie chwytając niteczki materjału. Taki obrąbek, szyty wierzchem, bardzo jest używany do ciekiej batystowej bielizny.



rys. 26.

H. Z.

HUMOR RADJOWY



...a teraz nadajemy wiadomości giełdowe.

CZYTELNICZKI TYGODNIKA KOBIETY

MOGĄ OTRZYMAĆ FORMY BIBUŁKOWE WSZYSTKICH MODELI PODAWANYCH NA 3 STR. OKŁADKI

W PORADNI MODY

Warszawa, Świętokrzyska 17

w cenie: Formy większe (palta, suknie i t. p. **2 zł. 50 gr.**

Formy mniejsze (bluzki, spódnice, bielizna) **2 zł.**

Załączony poniżej kupon uprawnia Panie Czytelniczki do otrzymania formy bibułkowej jednego z modeli podanych w naszem piśmie

Z RABATEM 50%

KUPON

uprawniający do nabycia formy bibułkowej po zniżonej cenie.

Uwaga: Panie, któreby zechciały skorzystać ze zniżki, a nie chciałyby wycinać kuponu, mogą zamiast wycinania, dać go skasować, okazując swój egzemplarz.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 8, tel. 644-59.

39. SUKNIA Z LEKKIEJ WEŁNY KRYZA Z ORGANDYNY LUB TAFTY
40. SUKNIA TAFTOWA Z KRÓTKIEMI RĘKAWAMI
41. SUKNIA Z CREPE SATIN KOLORU GRANATOWEGO
42. SUKNIA Z CZARNEGO JEDWABIU
43. SUKNIA Z JEDWABIU LUB LEKKIEJ WEŁNY. PRZÓD FANTAZYJNIE MARSZCZONY.





39



40



41 42 43



Sweter szydełkowy

Wełna Teddy.

Długie szydełko Nr. 3.

Ścieg I i II składa się z prawych i lewych oczek.

LEWE oczka nabiera się na szydełko chwytając nitkę od tyłu i przeciągając przez oczka zostawić na szydełku.

PRAWE oczka nabiera się na szydełko przeprowadzając nitkę do przodu, nawijając na szydełko i przeciągając do przodu zostawić na szydełku.

Ścieg I.:

1) *3 lewe 2 prawe, na zmianę do końca rzędu,*
2) *wracać przerobiwszy 1 brzeżne oczko, następnie przerabiać po 2 oczka.*

Na zmianę powtarzać te dwa rzędy.

Ścieg II.:

1) *1 lewe, 1 prawe i t. d.*
2) *jak w ściegu I, drugi rząd,*
3) *1 prawe, 1 lewe i t. d.,*
4) *jak 2.*

Te 4 rzędy powtarzać.

